

MERKVRYVSZ POLSKI ORDYNARYINY

Dzieie wżyſkiego ſwiata w łobie za-
mykaiący dla informacyey poſpolitey

Założony w roku 1601

W Z N O W I E N I A R O K
GAZETA TYGODNIOWA

Konfrontacja
hiszpańska



WANDA WASILEWSKA
której dzieła wydaje „Gosizdat”

Nr. 39 (179)

10.X.1937

Cena 45 gr.

DZIEIE WSZYSTKIEGO ŚWIATA

Dla odmiany, dla urozmaicenia tej kroniki, rozpoczniemy w tym tygodniu Dzieje wszystkiego świata nie od rozważań politycznych, lecz od pochwały starych rodów alzackich.

Miasto Colmar, dawne Columbarjum rzymskie, gościło niedawno kilkudziesięciu patrycjuszów, przedstawicieli kasty, która od niepamiętnych czasów czuwa nad szlachebnymi krzewami winnemi w dolinie Renu. Zjazd właścicieli winnic zwołali pp. Trimbach z Hunawihir, Greiner z Mittelwihir i Strohl z Wangen. Omawiano sprawy ważne i nie cierpiące zwłoki. Chodziło przedewszystkiem o rozstrzygnięcie pytania, które wina należy uznać za prawdziwe reńskie. Czy wina wytłaczane po stronie francuskiej Renu, czy też po niemieckiej.

Dziś panuje chaos w handlu winami. Niemcy w dalszym ciągu podtrzymują wśród odbiorców mniemanie, że autentyczny Rheinwein musi być niemiecki. Nie szczędzą też pieniędzy na propagandę, aby to przekonanie utrwalić. Przy sposobności i inne wina wytwarzane w granicach Rzeszy, głównie w Palatynacie, nazywają reńskiem, rozlewając je do charakterystycznych, wysmukłych butelek.

PRAWO PIERWSZENSTWA

Uczestnicy zjazdu słusznie podkreślili, że prawo pierwszeństwa przysługuje wytwórcom alzackim. Choćby dlatego, że krzewy winne przywdrowały z zachodu, wraz z legjonami rzymskimi, i rozpowszechniły się przedewszystkiem na lewym brzegu Renu. Przejście na brzeg prawy było już dalszym ciągiem pochodzenia winorośli, której najstarsze i najcenniejsze odmiany utrzymały się w Alzacji.

Trudno jest jednak wymagać od Niemców by wyrzekli się nazwy Rheinwein. To też zjazd postanowił, że wina reńskie wytwarzane w granicach Francji będą się odtąd nazywa-

ły Vins du Rhin français. W tym też kierunku ma być prowadzona propaganda. Odbiorcę wypadnie przyzwyczaić do nazwy francuskiej, wypadnie go przekonać, że lewy brzeg Renu jest ojczyzną win reńskich.

Pozatem zjazd wypowiedział się za szerszem rozreklamowaniem znakomitych wódek, wytwarzanych w Alzacji ze świeżych owoców.

WÓDKI ALZACKIE

Są to napoje w naszym kraju prawie nieznanne, gdyż wyrób ich jest wzbroniony. Dlaczego? Któż to zgadnie.

Słynny kirsz, otrzymywany z soku wyciśniętego z wisien, prefermentowanego i odpędzonego w alembiku miedzianym, można znaleźć od biedy w lepszych składnicach win, ale o wódkach pędzonych z malin, z borówek, z mirabelek nikt u nas nie słyszał. Pijemy najgorszą odmianę alkoholu z prefermentowanych ziemniaków.

W wielu krajach, przedewszystkiem we Francji, okowity kartoflanej niema zupełnie w handlu artykułami spożywczymi. Ustawy określają ten płyn jako „alkohol do celów przemysłowych“. Nie wolno więc dolewać spirytusu kartoflanego do likierów i wódek, gdyż podły ten napój nadaje się raczej do rozpowszechnienia pod postacią denaturatu z obowiązkową trupią główką na etykiecie. Nadaje się do fabryk chemicznych jako rozpuszczalnik związków organicznych, doskonale też może zastąpić benzynę w samochodach.

U nas, gdyby właściciel gorzelni wpadł na pomysł wyrabiania wódki z jabłek lub z wisien, gdyby chciał tę gałąź przemysłu uszlachetnić, miałby zatarg z akcyzą i stanąłby przed sądem jako winowajca. Albowiem polskie władze skarbowe, kierując się względami dla nas niepojętymi, rozmiłowały się w miadze kartoflanej.

Mielibyśmy w Polsce trzy razy więcej drzew owocowych, moglibyśmy wywozić do obcych krajów wyborne trunki, gdyby nie istniał niezrozumiały zakaz. Przypominamy, że omawiane już przez nas utrudnienia akcyzowe i nadmierne podatki zabiły rozwijający się pięknie przemysł win owocowych. Samobójcze przepisy hamują obecnie rozkwit Zaleszczyk, jedynego zakątka Polski, gdzie dojrzewają winne grona.

CIEKAWY CZASY

Ach, w jakże ciekawych czasach dziś żyjemy. Dyktator, jednym machnięciem pióra, wprowadza większe reformy, niż miesiącami obradujący parlament w krajach t. zw. demokratycznych.

Gdy się porówna zdobycze socjalne, to stwierdza się ze zdumieniem, że choćby taki p. Salazar, dyktator Portugalji, jest w wielu posunięciach bardziej radykalny i większą odznacza się odwagą, niż Maurycy Thorez, wódz komunistów francuskich.

Czy warto tak dużo krzyczeć i tak głośno złorzeczyć, gdy nie ma się śmiałości, gdy z zajętych pozycji zarządza się odwrót? Ustawa o czterdziestogodzinnym tygodniu pracy ma być we Francji zrewidowana. Życie dowiodło, że Republika nie podoła przyjętym na się ciężarom. Frank spada, przemysłowi grozi ruina, a rezerwy, choć są bogate, kiedyś jednak muszą się wyczerpać.

ZDOBYCZE

Konkretne zdobycze Frontu Ludowego sprowadzają się ostatecznie do zarekwirowania kilku wytwórni samolotów. Upaństwowienie towarzystw ubezpieczeń nie doszło do skutku. Nie mówi się też już o upaństwowieniu kolei żelaznych.

A tymczasem, z tamtej strony Alp i z tamtej strony Renu, ograniczono zyski fabrykantów, księgi handlowe są pod ścisłą kontrolą, władze nadzorują produkcję, nie pozwalają na wyzysk,

hamują wyżkę cen. Własności nie naruszono, inicjatywy prywatnej nie skrzepowano, sprowadzono tylko dochody przedsiębiorców do granic godziwych.

I wynik jest taki, że w krajach demokratycznych, gdzie władze rozmyślnie zaogniły walkę klasową, panuje chaos, przemysł upada, a podatkami są obciążeni obywatele ubodzy. W krajach dyktatorskich podatki płaćcą przedewszystkiem właściciele przedsiębiorstw przemysłowych. Państwo przyznaje im część zysków, naogół tyle tylko, ile potrzeba by ich nie zniechęcić do dbania o losy przedsiębiorstw.

Nie szukajmy wzorów obcych, stać nas na własne. Ale nie zamykajmy oczu i nie lękajmy się porównań. Zwłaższa teraz, w okresie pomieszania pojęć, kiedy prawicowy dyktator Salazar okazuje się bardziej lewym od niejednokrotnego socjalisty, związanego z wielkim kapitałem międzynarodowym.

GENEWSKI HIGH - LIFE

No, nareszcie, mamy nieco ciekawych wieści z Genewy. Tak zwanym evenementem był tam przyjazd pani Mahometa i jego żony. Wspomniały Aga - Chan, którego pełne nazwisko według pisowni francuskiej brzmi Aga Sultan Mohamed Shah Aga - Khan, wyprawił raut dla Ligi Narodów.

Było to przyjęcie, jak na indyjskiego bogacza, wręcz feeryczne. Uroczą małżonką gospodarza (z domu panna Andrzejka Carvin, rodem z Chambery) ukazała się we wschodniej szacie, zresztą sporządzonej w Paryżu. Dostojny prawnik Mahometa wystąpił oczywiście w turbanie.

Fakt, że Aga - Chan jest głową kościoła mużulmańskiego w Indjach, że uchodzi za natchnionego, że woda z wanny w której się kąpał jest sprzedawana po pół gwinei za butelkę, wszystko to nie zraziło delegatów sowieckich. Przedstawiciele ZSRR zjawili się na przyjęciu we frakach,

sztynnych koszulach, cylindrach, i bili pokłony przed tureckim świętym w turbanie oraz przed jego najukochańszą żoną.

WOJNA STULETNIA

W jednym z dzienników holenderskich ukazał się wywiad z generalisimusem chińskim Czang - Kai - Szekiem. Dzielny wojak miał oświadczyć, że gotów jest bić się z japończykami choćby sto lat.

A więc, zanosi się na wojnę stuletnią. Życzymy p. Czang - Kai - Szekowi, aby żył tak długo, co do wojny jednak, to chyba trochę przesadza. Zresztą, Chiny są daleko i trudno sprawdzić, ile w wywiadzie jest prawdy, ile fantazji.

Tak czy owak, zastanawiamy się, co będzie z Japonją, jeżeli wojna (bez wypowiedzenia), potrwa dajmy na to dwa lub trzy lata. Narazie japończycy odnoszą zwycięstwo za zwycięstwem, idą naprzód, palą miasta, rzucają z samolotów bomby.

I co dalej? Chińczykom nie grozi zagłada. Przeżywali już gorsze najazdy. Ale co będzie z Japonją? Mimo woli przychodzi na myśl Pyrrhus i jego zastępy słoni, które wnosiły zamieszanie do szeregów przeciwnika, jak dziś czołgi japońskie do szeregów chińskich.

PIĘKNY REPORTAŻ

Poszukawszy cierpliwie, można znaleźć w księgarni piękny reportaż z podróży do Chin, napisany w XIII wieku przez Marco Polo. Kto nie czytał, tego gorąco namawiamy do zapoznania się z tem dziełem. Ręczymy, że lektura będzie ciekawsza od reportaży ukazujących się dziś w prasie.

Marco Polo przybył do Chin w okresie powojennym, kiedy kraj ten był już podbity przez chana mongolskiego Kublaja. Chińczycy byli wówczas w niewoli, byli pogardzani, a najeźdźcy spędzali czas przy dzbanach z winem, uczując radośnie.

Siedemnaście lat przesiedział Mar-

co Polo na dworze gościnnego chana. Napisał entuzjastyczną książkę i oczywiście nie wątpił o potędze władzy zaborczej. Minęło sto lat, mongołowie przyjęli język chiński, obyczaje chińskie, zapomnieli o własnym pochodzeniu. A po upływie lat stu pięćdziesięciu, mongołów już nie było. Zniknęli wraz z dynastją. Czy nie taką wojnę stuletnią miał na myśli Czang-Kai-Szek?

OPUSZCZONY

Były król angielski, obecnie książę Windsoru, przyjechał z żoną do Paryża. Po raz pierwszy w życiu spotkał się z wyraźnie zimnem przyjęciem, przygotowanym przez ambasadę angielską.

Księcia i jego żonę eks-panią Simpson powitał na dworcu radca ambasad, podczas gdy sam ambasador nie uznał za możliwe, czy też za konieczne przybyć. Placu dotrzymali jedynie reporterzy z aparatami fotograficznymi, no i paryżanki, które chciały sprawdzić, jaki kapelusz przywdziała księżęca małżonka.

Z długiego pobytu w Austrii b. król przywiózł zdrowie, czerstwy wygląd i miłe wspomnienia. Z powitania w Paryżu wyniesie jeszcze jedno doświadczenie życiowe i wniosek, że sława prędko mija. Opuścili księcia przyjaciele, między innymi rodzina markiza de Breteuil, u której niegdyś często gościł spotykając poetów, artystów i polityków.

ZACHWIANY PROJEKT

Pisaliśmy przed kilku tygodniami o projekcie przedłużenia wystawy paryskiej do przyszłego sezonu w roku 1938. Stany Zjednoczone, od których zależała decyzja, były skłonne wyrazić zgodę, choć to zagrażało interesom amerykańskim ze względu na wystawę, która jest tam przygotowywana na rok 1939. I nikt nie przypuszczał, że projektowi mogą się sprzeciwić sami francuzi.

Opozycja zrodziła się jednak w kra-

ju, mianowicie w Marsylii. Na wiosnę, w roku przyszłym, ma nastąpić w tem mieście otwarcie Targów Marsylijskich. Inne departamenty południowo przyłączyły się do protestu przeciwko przedłużaniu wystawy paryskiej. A ponieważ południowa Francja jest liberalna i rząd Frontu Ludowego bardzo się z tem liczy, należy przypuszczać, że żale i alarmy nie pozostaną bez wpływu na bieg wypadków.

Sprawa dotychczas nie jest przesądzona, a nastroje są chwiejne. Przed miesiącem zdawało się, że przedłużenie wystawy nie napotka większych trudności, teraz te trudności są coraz liczniejsze. Słychać głosy, że konserwacja budynków nie obliczonych na słoty jesienne i zimowe będzie zbyt kosztowna. Nie mniej poważna wydaje się obawa, że wylew Sekwany może wszystko zniszczyć w ciągu jednej doby. A wszak Sekwana jest kapryśna i nieraz zalewała tereny, na których wzniesiono wystawę.

NIECO HUMORU

W gazetach francuskich wciąż powtarzają się żarty na temat słynnego haselka, puszczonego w świat przez Leona Bluma.

„Wykończenie wystawy na święto pierwszego maja — wołał Blum na mityngach — będzie zwycięstwem Frontu Ludowego nad faszyzmem“.

Otóż, proszę sobie wyobrazić, że teraz w październiku, czyli prawie pół roku po zapowiedzianym terminie, wystawa nie jest jeszcze wykończona, nie wszystkie pawilony otwarte. Dotyczy to głównie francuskich pawilonów regionalnych, no i wielkiej sali w Trocadero, gdzie miały się odbywać zabawy.

Zabaw niema, bo sala nie zdążyła wyschnąć, ale to można przeboleć. Z trudem, ale można. Gorzej przedstawia się budowa pawilonu Meksyku, który zaufał robotnikom z francuskiej C. G. T., czyli Generalnej Konfederacji Pracy (kierownik p. Jouhaux). I biedny Meksyk wpadł. Przed

tygodniem komisja orzekła, że pawilon nie będzie wykończony nawet na zamknięcie wystawy.

Po takiej ocenie, poselstwo meksykańskie zawiadomiło komitet wystawy, że odwołuje swych przedstawicieli przy budowie pawilonu i związanatki. A co będzie dalej, to się zobaczy. Być może, przygotowane ekspozycje będą wystawione oddzielnie, poza wystawą, w wynajętym lokalu.

Jeszcze jedno zwycięstwo Frontu Ludowego...

ROZMAITOŚĆ

Obywatele Republiki Francuskiej nie mogą narzekać na nudy. Życie mają urozmaicone, jak w odcinku powieściowym gazety dla wszytkich. Można by też powiedzieć, że czują się jak widzowie, trochę zahukani i niespokojni, podczas wyświetlania filmu z życia gangsterów. Emocja następuje po emocji, tchu trudno zaczerpnąć, zbyt wiele jest tych wrażeń.

Po bombach w dzielnicy Etoile, francuzi mieli strzelaninę na hiszpańskiej łodzi podwodnej w Bordeaux, następnie wykrycie składów broni u młodych kapturników („cagoulards“), dalej nastąpiło uprowadzenie rosyjskiego (carskiego) generała Millera i wreszcie ucieczka drugiego generała Skoblina, który jak się okazało był na żołdzie Sowieców.

Wszystko to jest tak fantastyczne, że aż przestaje być ciekawe. Zadużo sensacji, dawki są zbyt silne. W niedzielę następuje, dajmy na to, zniknięcie generała. Gazety poniedziałkowe piszą o tem na pierwszej stronie, tytuły ogromne, druk wyraźny. Nazajutrz jest nowa sensacja, wobec czego generał przechodzi do wnętrza numeru, by po kilku dniach znaleźć się między drobnymi wypadkami, pod postacią lakonicznej notatki, że śledztwo nie posunęło się naprzód.

DROGA DO HAWRU

Czy jednak istotnie śledztwo nie dało wyników? Porwanie generała Mil-

lera naprowadziło jednak na ślad zupełnie wyraźny. Przedewszystkiem generał zostawił kartkę zawiadomieniem, że udaje się na niebezpieczne spotkanie. Następnie wiadomo, z kim się spotkał.

Dalej, policja francuska stwierdziła ciekawy szczegół, że w kilka godzin po zniknięciu przywódcy białogwardzistów z gmachu ambasady sowieckiej przy ulicy Grenelle w Paryżu wyjechał samochód ciężarowy. W samochodzie tym siedzieli dwaj urzędnicy sowieccy, zaopatrzeni w paszporty dyplomatyczne („feuille de route“).

Ciężarówka pomknęła w kierunku Hawru, dotarła do miasta, zatrzymała się na Quai de Marseille w porcie, gdzie stał parowiec sowiecki „Marja Uljanowa“. Parowiec ten przywiózł transport skórək zajętych, które właśnie wyładowywano.

Z samochodu wyniesiono kilka pakunków, między innymi jeden cięższy od innych, omotany rogożą. Szczegół godny uwagi, że parowiec „Marja Uljanowa“ nie dokończył wyładowywania skórək, lecz po przyjeździe ciężarówki i po przeniesieniu bagaży na tychmiast odjechał. Na pokładzie pozostało sześćset bel z skórkami, lecz kapitan tak się śpieszył, że posłał po pilota portowego, pana Cardou, zapomniawszy zawiadomić o odjeździe kapitana portu.

Odkąd to dyplomaci sowieccy jeżdżą ciężarówkami? I co oznacza ten pośpiech?

ZGODNIE Z SZABLONEM

Część prasy francuskiej zgodnie podkreśla, że ministerjum spraw wewnętrznych poprostu stchórzyło, zlekło się ujawnienia prawdy.

Gdy stało się jasne, iż Millera porwali wysłannicy ambasady sowieckiej, minister polecił przerwać śledztwo. Podobno nie z własnej woli, lecz pod naciskiem ministerjum spraw zagranicznych, co ostatecznie na jedno wychodzi. Fakt pozostaje, że rząd francuski gotów jest patrzeć przez

palce na gwałt i zbrodnię, byle nie naruszyć serdecznych stosunków z Moskwą.

Warto też przypomnieć, kiedy zgadło się o porwaniu generałów carskich, że uprowadzenie Millera odbyło się zgodnie z utartym szablonem. Kutiepow był porwany w identycznych okolicznościach. Niejaki Woron, podający się za emigranta, zwał Kutiepowa do łasku Bulońskiego. Tam go obezwładniono, wpakowano do samochodu ambasady sowieckiej i zachloroformowano tak silnie, że nie obudził się więcej. Zwłoki zawieziono do Normandji, na bezludne wybrzeże morskie, gdzie były załadowane do motorówki, następnie na sowiecki okręt - cysternę „Spartak“. I dalej ślad zaginął, gdyż „Spartak“ popłynął wprost do Archangielska.

Porwanie Kutiepowa odbyło się z udziałem dwu lekarzy sowieckich, Goldensteina i Lewina, gdyż Moskwie zależało na utrzymaniu Kutiepowa przy życiu. Wiedzano, że jest chory na serce, to postanowiono stosować chloroform w małych dawkach, byle podtrzymać oszołomienie jeńca. Kutiepow jednak nie zniósł narkotyku i zmarł w samochodzie.

Lewin został dyrektorem polikliniki w stolicy ZSRR, Goldensteina otruto na zesłaniu, innych uczestników porwania rozstrzelano jako oskarżonych o kontrrewolucję. Jest to stary sposób azjatycki pozbywania się niewygodnych świadków. Sposób pewny.

ANARCHIŚCI GÓRĄ

Powtarzamy tę wiadomość za prasą francuską, z tem jednak zastrzeżeniem, że może się okazać przedwczesna.

Podobno „czeka“ sowiecka, do niedawna panosząca się w Barcelonie, przygotowuje się do wyjazdu. Biuro ma być zwinięte, a funkcjonariusze wyjadą (według przypuszczeń prasy francuskiej) do Francji. Owsejenko miał się zniechęcić ostatecznie i do-

szedł do wniosku, że wcześniej czy później panami Katalonji będą anarchiści. Nie udało się ich rozbroić, nie udało się ich zastraszyć terorem, choć wytrawni czekiści moskiewscy nie żalowali kul („patronow nie żalet“).

Według prasy paryskiej, liczba funkcjonariuszów „czeki“ działających we Francji, utrzymywanych przez am basadę sowiecką, wynosi obecnie 1700.

dz.

DLACZEGO W MEKNES, A NIE NP. W MOGADOR?

Prasa przyniosła interesującą wiadomość o rozruchach komunistycznych w Meknes. Czemu tę wiadomość określamy, jako interesującą? Czyż Marok ma dla czytelnika polskiego tak wielką atrakcję?

Wiadomość interesująca jest dlatego, że właśnie dotyczy Meknesu, a nie np. Mogadoru, że chodzi o rozruchy komunistyczne i że akty teroru wymierzone były nie tylko przeciwko francuzom, ale i notabdom arabskim.

Otóż Meknes tem się właśnie różni od wszystkich innych miast marokańskich, że jest jednym z największych skupień żydowskich. Oczywiście, nie zamierzamy z tego faktu wyciągać jakichś niegrzecznych wniosków o łączności żydów z imperjalizmem sowieckim, albo dowodzić, że wcale nie jest przypadkiem fakt, iż sukcesy propagandy komunistycznej notuje się właśnie w największych skupieniach żydowskich. Wogóle, nie wyciągamy z tej okoliczności żadnych wniosków.

Powiadamy tylko: ale wiadomość interesująca.

A WIĘC... TRAKTOR, CZY SOCHA?

W jednym z organów rosyjskiej prasy emigracyjnej umieszczono zdjęcie, dokonane w ZSSR, na którym jest uwidoczniony fragment uprawy roli z pługiem, ciągnionym nie przez konia lub inne bydło, lecz przez ludzi — przez dwanaście wprzęgniętych do sochy (!!!) kobiet. Więc już

wiemy jak wygląda „kolektywna“ uprawa roli u naszego sąsiada od wschodu.

Ilustracja ta jest nad wyraz wymowna. Mogą schować się przed nią wszelkiego rodzaju publikacje świadków naocznych o istotnym stanie rzeczy w „raju socjalistycznym“. Żaden talent najzdolniejszego obserwatora nie potrafi tak oddać i uwypuklić rzeczywistości, jak uczyni to błyskawicznie spojrzenie obiektywu Leica. Nikt z ludzi nie potrafi tak beznamiętnie uchwycić rzeczywistości i dać rzeczowego dowodu prawdy, jak światło-ozuła błona aparatu fotograficznego. Trudno, musimy pogodzić się z tem, że praca zespołowa w ZSSR zdobyła sobie szerokie acz zgoła szczególne zastosowanie w życiu. Każdy — kto dokładnie przyjrzy się temu obrazkowi, przekona się sam, że dwanaście postaci kobiecych, przy pomocy liny umocowanej do sochy, w „kolektywnym wysiłku“, ku chwale swej socjalistycznej ojczyzny uprawia „glebę kolektywną“, zastępując w swym zgo dnym wysiłku „zespołowym“ jednego konia „indywidualnego“.

SZCZEGÓŁY

Tętem pierwszoplanowych postaci fotografii jest typowa wieś rosyjska, charakterystyczna w układzie drewnianych chałup „muzyckich“ obwiezionych „pletniami“. Na czele „zespołu pracy“ kroczy jakaś starsza postać kobieca napewno jeszcze pamiętająca czasy przedrewolucyjne i inne sposoby uprawy roli, kiedy konie i woły nie były rzadkością na wsi rosyjskiej. — Nie znano, prawda, wtedy jeszcze traktorów, ani „kombajnów“, którymi chełpi się władza sowiecka, lecz przy orce, czy bronowaniu, czy innych pracach rolniczych posługiwano się zwyczajną chłopską szkapą, a nie „zespołem równouprawnionych i najswobodniejszych w świecie kobiet“, którymi kieruje jakiś chłop uwidoczniony na fotografii i odgrywający prawdopodobnie rolę fornała. Nie widzimy, prawda, w jego ręku bata,

lub innego narzędzia wydobywania „stachanowskich“ lub innych „udarnych“ rekordów pracy kolektywnej, lecz przypuszczać należy że rodzima rosyjska nahajka tkwi gdzieś „za gołeniszczem“ (wetknięta za cholewę), (głębsze studja nad tym obrazkiem polecamy p. W. Wasilewskiej, znakomitej autorce „Ojczyzny“) i tylko tymczasem została dyskretnie schowana, gdyż oczywiście jest, że „zespół pracy kolektywistycznej“ wystrzelił się do fotografii w najlepsze i najkosztowniejsze swe szaty i przywdział swe odświętne odzienia, a niektóre z kobiet na komendę fotografa: „proszę zrobić przyjemny wyraz twarzy“, zdobyły się nawet na heroiczny wysiłek i ozdobiły swe twarze uśmiechem i pogodą wyrazu.

MOTORYZACJA À LA „BURŁAK“

Zresztą tego rodzaju „praca kolektywna“ istniała w Rosji przed kilkoma setkami lat, wtedy gdy jeszcze nikt nie myślał o rewolucji październikowej i ewentualnych jej „zdobyczach“. Na długo przed bolszewickim przewrotem znany był obraz głośnego rosyjskiego malarza pod tytułem „Burłaki“, który wyobrażał mniej więcej to samo co widzimy na obecnym zdjęciu z rzeczywistości sowieckiej, tylko zamiast postaci kobiecych byli umieszczeni na płótnie „burłacy“ — mężczyźni obdarci, wynędzniali, którzy idąc brzegiem „matuszki Wołgi“ i śpiewając przepitymi, zachrypniętymi głosami pieśń burłacką, wyteżali swe siły, ciągnąc za sobą na linach po brzegi naładowane barki.

Tak wygląda rzeczywistość w Z. S. R., a ogłuszający wrzask propagandy bolszewickiej i probolszewickiej o dokonanych wczynach i zdobyczach o modernizacji, mechanizacji, motoryzacji i t. d. wstydliwie tuszuje beznadziejną sytuację, mydląc oczy naiwnemu proletariatu Zachodu. Zresztą, przypuszczać należy, że w takim stanie rzeczy, pracy w ZSSR istotnie nie brak i może nawet mają rację bolszewicy, gdy twierdzą że jest im nieznaną plagą bezrobocia.

CZEGO BRAK

Lecz poza pracą, nędzą i czekistami, brak zdaje się wszystkiego. Jak widzimy, w pierwszym rządzie brak koni, gdyż ludźmi orzą. Konie widocznie są zbyt delikatne i masami zdychają nie wytrzymując sowieckiego regimé'u. Brak narzędzi większych i mniejszych, brak nawet takich bez których, zdawałoby się, człowiek obyć się nie może, — głód w ZSSR stał się zjawiskiem nieprzemijającym.

Po dwudziestoletnim „ożywczym“ działaniu podmuchów rewolucji w bilansie pozostały same braki: brak doktorów, akuserek, prawników, wychowawców, nauczycieli, podręczników, kajetów, ołówków, smoczków, guzików, napastrków, igieł, nici. Taki właśnie stan rzeczy, według sowieckiej terminologii propagandowej ma się nazywać dobrobytem.

„DOBROBYT“

„Izwestja“ (28.VIII.37) podają że w sklepach galanterji w Moskwie codzień odbywają się dialogi następujące:

Klijent: — Czy napastrki są?

Subjekt: — Nie mamy...

Klijent: — A igły do szycia?

Subjekt: — Nie mamy...

Klijent: — Być może znajdę igły do maszyny?

Subjekt: — Też nie mamy...

To cóż u diabła, pytamy, mają sowieckie sklepy galanterji i jak obywają się obywatele tego „uszcześliwionego“ kraju bez tak koniecznych przedmiotów codziennego użytku, jak napastrzek czy igła, lub też guzik bądź nici?...

Skłonni jesteśmy widzieć w tem „planowość“ postępowania władzy sowieckiej, która głodzi swych obywateli i celowo zaprzęta ich uwagę poszukiwaniem produktów, a w rękach każe im nosić własne spodnie. W ten sposób bolszewicy asekurują swe panowanie, gdyż obywatel sowiecki stale ma umysł i ręce zajęte.

J. K.

KONFRONTACJA

Otrzymałiśmy z Paryża dwie najnowsze książki o Hiszpanji, ciekawe z tego względu, że jedna ukazała się staraniem rządu powstańczego, druga zaś rządu walenckiego. Obie bronią z zapałem prawa władania całym krajem, obie starają się dowieść, że przeciwnik jest uzurpatorem.

Jałowa dyskusja nic nas nie obchodzi. Bardziej nas zajmują sprawozdania z rzeczy już osiągniętych i ostateczne pytanie, kto będzie zwycięzcą w wojnie domowej. To też skonfrontowaliśmy obie książki, a wnioskami chętnie się dzielimy.

Pierwsza książka, powstańcza, ukazała się w sierpniu b. r., wyszła z pod prasy w zakładach drukarskich „Société Générale d'Imprimerie et d'Édition“, Paryż, 71 Rue de Rennes. Autor nie wymieniony, jest to praca przypuszczalnie zbiorowa. Jej tytuł brzmi „A qui la victoire?“.

Książka druga, napisana przez p. Ramona Sender, ukazała się w sprzedaży jako wydanie „Editions Sociales Internationales“, Paryż, 24 Rue Racine. Wyszła z pod prasy w pierwszych dniach września b. r., jest więc nieco młodsza od poprzedniej, o kilka zaledwie tygodni. Tytuł jej brzmi „Contre - attaque en Espagne“.

Co do treści, to dziełko powstańcze obfituje w dane cyfrowe, w mapki, wykresy; jest napisane zwięźle i względnie mało poświęca uwagi polemice z przeciwnikami. Natomiast druga książka jest zbiorem oszczerstw, przeplatanych opisami walk.

Ponieważ obustronne zarzuty nie zasługują na powtarzanie, pominiemy je milczeniem i wybierzemy z książek to tylko, co nam może wy-

jaśnić przebieg, względnie co nam pozwoli przewidzieć ciąg dalszy wojny domowej w Hiszpanji.

PO WYBUCHU POWSTANIA

Nie wszyscy zdają sobie sprawę, w jak krytycznem położeniu znaleźli się powstańcy w kilka tygodni po wybuchu działań wojennych. Powstańcza armia północna była odcięta od południowej. Rząd utworzył się w Burgos na północy, podczas gdy mobilizacja głównych sił do uderzenia na Badajoz odbywała się na południu. Maroko było odcięte, gdyż większość okrętów wojennych wypowiedziała się za rządem madryckim. Rządowcy mieli również niemal wszystkie samoloty i czołgi. Panovali na morzu Śródziemnem i nad cieśniną.

Przed dowództwem armji powstańczych wyrosły trudne zadania. Należało przedewszystkiem uzyskać połączenie południa z północą, przez co całe pogranicze Portugalji znalazłoby się w posiadaniu powstańców. Dalej trzeba się było śpieszyć, aby odpędzić czerwonych, choćby częściowo od granic Francji.

Tyle na lądzie, to było najpilniejsze. Na morzu powstańcy musieli uzyskać połączenie metropolji z Marokiem, czyli zdecydować się na spotkanie własnej skromnej floty z dwukrotnie silniejszą flotą czerwoną.

Wreszcie pozostawały do ocalenia wysepki powstańcze na terytorjum zajętem przez czerwonych, jak Ovie do, Alkazar toledański i wiele innych. Tu już nie grały roli względy strategiczne, lecz uczuciowe, z czem też wypadało się liczyć.

OPANOWANIE CIEŚNINY

Na większości hiszpańskich okrętów wojennych, z chwilą wybuchu powstania, powtórzyły się sceny przy-

EGZEMPLARZE OKAZOWE

MERKURYUSZA

na żądanie gratis

pominające bunt na krążowniku „Potemkin“. To też Indalecio Prieto mógł z tryumfem ogłosić: „Marynarka jest nasza, panujemy nad morzem“.

Cóż, kiedy załogi rządowe, pozbywszy się oficerów, były tak zdemoralizowane, że okazały się niezdolne do walki.

Piątego sierpnia 1936 roku od brzegów afrykańskich odbiła flota powstańcza złożona z kilku transportowców pod opieką pancernika „España“, kanonierki „Dato“ i trzech samolotów. Okręty były zaatakowane w drodze przez torpedowiec rządowy „Alcala Galiano“, lecz bez powodzenia.

Tegoż dnia transport dotarł do Algerisas, gdzie wylądowano bez przeszkód 3.000 żołnierzy legji cudzoziemskiej.

Od tej chwili powstańcy wysyłali coraz częściej transporty wojskowe morzem, podczas gdy flota rządowa nie miała odwagi ich zaatakować. Bombardowania powietrzne Ceuty i Algesiras były przejawem złego humoru czerwonych. Nad cieśniną zapalniali powstańcy.

WZDŁUŻ GRANIC PORTUGALJI I FRANCJI.

Po szczęśliwie zakończonym przewozie posiłków przez morze Śródziemne, powstańcy rozpoczęli natarcie wzdłuż granic Portugalji dla uzyskania łączności z armją północną.

Zdobyto Kordobę, Grenadę, w końcu lipca Huelwę. Zajęcie Bajadoz zapowiadało dalsze sukcesy, które się ziściły. Trzydziestego sierpnia cała granica portugalska była opanowana, nastąpiło połączenie południa z północą. Obie armje znalazły się pod istotnem dowództwem generała Franco.

Około piętnastego sierpnia rozpoczęły się ważne przesunięcia wojsk powstańczych na północy. Czwartego września wkroczone do Irunu podpalonego przez uciekających obrońców. Osmego września wojska generała Mola wkroczyły do San-Sebastian, letniej stolicy Hiszpanji.

W tymże czasie odbywał się marsz w kierunku Madrytu, zakończony znieruchomieniem linii frontu na przedmieściach miasta.

DESANT NA BALEARACH

Dotychczas wojska rządowe były stale w odwrocie, nie przejawiając żadnej inicjatywy. Dziewiątego sierpnia rząd kataloński przedsięwziął ciekawą z wielu względów lecz źle przygotowaną operację, mianowicie desant na wyspach Balearskich. Dowodził kpt. Bayo, oficer armji regularnej. Zajął Formonterę, Ibizę, Minorę i wylądował na Majorce opodal miejscowości Manacor. Jego ekspedycja włąb wyspy zakończyła się klęską. Po upływie niespełna miesiąca katalończycy uciekli z Majorki. Na Ibizie trzymali się jeszcze trzy tygodnie. Z Formentery wypędzono ich w końcu września.

W rezultacie wszystkie wyspy, wjąwszy Minorę, przeszły pod władzę powstańców.

Warto tu zaznaczyć, że choć mieszkańcy Balearów posługują się językiem katalońskim, mimo to ustosunkowali się wrogo do wojsk z Barcelony.

Była to jedyna operacja wojenna przeprowadzona przez rząd kataloński. Spory wewnętrzne, walki z anarchistami, tropienie wrogów na tyłach, oto czem się zajmuje Barcelona, nie troszcząc się zbyt o los Madrytu, ani też nie dbając o zlikwidowanie niebezpiecznego klina pod Teruelem, który zagraża Katalonji odcięciem od Walencji.

WYPADKI NA MORZU

Dwudziestego dziewiątego września flota rządowa wypłynęła na morze z zamiarem rozegrania bitwy z flotą powstańczą. Spotkanie istotnie nastąpiło, przyczem wyszło na jaw, że powstańcy rozporządzają lepszą marynarką, choć liczebnie daleko słabszą.

Podczas bitwy zatonał rządowy tor-

pedowiec „Ferrandiz“, drugi torpedowiec „Gravina“ był uszkodzony i szukał schronienia w Casablance.

Odtąd flota rządowa unikała spotkania z powstańcami, którzy wkrótce wzmocnili się poważnie przez spuszczenie na wodę krążownika „Baleares“, dwu torpedowców i stawiacza min.

Okręty powstańcze blokują z powodzeniem Malagę, a po zajęciu tego miasta współdziałają przy zdobywaniu Bilbao i Santander.

OBRONA MADRYTU

W operacjach pod Madrytem w październiku 1936 roku występują bataliony cudzoziemskie. Ich pomocy rząd zawdzięcza ocalenie miasta.

Werbunek cudzoziemców odbywa się otwarcie we Francji, gdzie powstają słynne koszary w Perpignan, poza tym w Belgji, w Czechosłowacji, w Szwajcarji. Nielegalnie werbuje się bezrobotnych w innych krajach, nie wykluczając Polski.

Z Rosji sowieckiej przyjeżdżają instruktorzy wojskowi wraz z samolotami, czołgami, bronią i amunicją.

Jednocześnie generał Franco otrzymuje pomoc z Rzymu, skąd przybywają oddziały milicji faszystowskiej. Zaczyna też przychodzić sprzęt wojenny niemiecki.

Wojska wszelkich narodowości walczą o Madryt.

PO ROKU WOJNY

Na wszystkich frontach, z mniejszym lub większym wysiłkiem, powstańcy posuwają się naprzód. Po roku wojny generał Franco może już oświadczyć, że dwie trzecie Hiszpanji, poza tym wszystkie kolonie i wszystkie wyspy (wyjąwszy Minorę) są pod zarządem powstańców.

Marynarka powstańcza, choć poniosła dużą stratę wskutek najechniania na minę pancernika „España“, panuje nadal nad morzami. Z Kartageny wymknęły się dwie rządowe łodzie podwodne i wywiesiły flagi powstań-

cze. Po przeszkoleniu załóg, oba nurkowce wypływają w morze i wkrótce idzie na dno sowiecki parowiec „Komsomol“:

Powstańcy zagarniają coraz więcej okrętów wiozących broń do Walencji bądź Barcelony. Wypada wspomnieć o wielkim parowcu „Mar Cantabrico“, wysłanym przez Meksyk z bronią dla czerwonych, a wziętym w całości przez powstańców.

W lipcu 1937 roku generał Franco panował w 34 stolicach prowincji hiszpańskich, w Maroku, w Gwinei, w Rio de Oro, w Ifni i na 16 wyspach.

Czerwoni rządzą tylko w 15 stolicach prowincjonalnych, lecz Madryt był i jest w ich posiadaniu. Z wysp mają tylko Minorę i nic pozatem.

Jeszcze raz podkreślamy, że od początku wojny rządowcom nie udało się przeprowadzić ani jednego większego natarcia z własnej inicjatywy. Mogą się wprowadzić też poszczycić sukcesami, choćby pod Guadalajarą, lecz były to sukcesy lokalne, spowodowane koniecznością utrzymania linii obronnej. Nigdzie, w żadnym wypadku front powstańczy nie był przełamany, ani jedno miasto nie było zajęte przez czerwonych.

Na morzu, na lądzie i w powietrzu powstańcy mają zdecydowaną przewagę i nie wyzbywają się inicjatywy.

ZŁOTO I PAPIER

Bank emisyjny w Madrycie był własnością akcjonariuszy. Czerwoni zagarnęli złożone w skarbcach złoto, wartości 2.250 milionów pesetów. Co pozostało z tych zapasów, nie wiadomo, gdyż transporty złota były wysyłane do Paryża, częściowo do Moskwy.

Będące w obiegu dwie pesety papierowe, powstańcze i rządowe, najlepiej świadczą o przewidywanych na giełdzie wynikach wojny domowej. W lipcu b. r. płacono w Paryżu za pesetę powstańczą 1 fr. 60 centymów, za czerwoną zaś 42 centymy, choć banknoty powstańcze, poza zaufaniem, nie mają żadnego pokrycia.

POWIERZCHNIA I ZALUDNIENIE

Po roku wojny powierzchnia wyswobodzonej Hiszpanji wynosiła 310 tysięcy kilometrów kwadratowych, podczas gdy powierzchnia Hiszpanji czerwonej spadła do 194 tysięcy.

Hiszpanję powstańczą zamieszkuje 14 milionów obywateli, czerwoną zaś 8 milionów.

Co do floty handlowej, to powstańcy rozporządzają 68 proc. tonnażu i mają do swej dyspozycji większość portów.

KURS AKCJI

Niezwykłe ciekawie przedstawia się kurs akcji przedsiębiorstw przemysłowych w Hiszpanji, notowanych w Paryżu. Mamy tu zjawisko wysoce charakterystyczne.

Pomimo wojny, akcje przedsiębiorstw w Hiszpanji powstańczej nie tylko nie spadły, lecz zwyżkują. Na przykład popularne na giełdach europejskich akcje Rio Tinto w dniu wybuchu powstania były notowane w Paryżu po 1.042 franki, po roku zaś skoczyły do 1.456 franków.

W Hiszpanji czerwonej, zwłaszcza w Katalonji, akcje przedsiębiorstw straciły na wartości przeciętnie 25 procent, lecz (szczegół godny uwagi) akcje te zwyżkują gdy szczęście sprzyja powstańcom.

CENY

Choć peseta powstańcza, jak to wspomnieliśmy wyżej, nie ma pokrycia w złocie, choć wojna trwa już rok zgórą, ceny w Sewilli i w innych miastach powstańczych są identyczne jak przed wybuchem powstania. Niema żadnego niedostatku, kraj sam się żywi.

Hiszpanja powstańcza wytwarza 65 proc. zboża, 61 proc. oliwy, 21 proc. ryżu, 68 proc. ziemniaków, podczas gdy Hiszpanja czerwona cierpi niedostatek, mogąc wytwarzać 35 proc. zboża, 39 proc. oliwy, 79 proc. ryżu, 32 proc. ziemniaków.

Zgodnie z powyższem zestawieniem, tylko ryż zdrożał w Sewilli. Natomiast w Walencji i w Madrycie zdrożał gwałtownie chleb, oliwa i ziemniaki.

Powstańcy rozporządzają 70 proc. trzody chlewnej i bydła rogatego, czerwonym pozostało 30 procent.

Łodzie rybackie w portach powstańczych przywożą dwa razy więcej ryb niż w portach rządowych.

Hiszpanja powstańcza wydobywa 80 proc. rudy żelaznej, czerwona 20 proc. Rud miedzianych powstańcy wydobywają 98 proc., czerwoni tylko 2 proc. Fabryki powstańcze wytwarzają 67 proc. cementu, 80 proc. stali, 68 proc. związków azotowych i t. d.

DWIE KSIĄŻKI

Tak się przedstawia bilans pierwszego roku wojny. Wracając do dwu książek, o których wspomnieliśmy na wstępie, z porównania wysnuwamy wnioski, nie po raz pierwszy zresztą, że Walencja lubuje się we frazeologii i stara się wyzyskać wrażliwość czytelników. Wszystkie wydawnictwa czerwone są pisane w ten sposób, by wstrząsnąć nerwami.

Zupełnie inaczej postępują powstańcy. Ich wydawnictwa, skromne i ubogie w porównaniu z wydawnictwami czerwonych, przynoszą mało słów, podając więcej faktów. Ta prostota połączona ze szczerością może i nie jest efektowna, może nie jest porrywająca, ale daje zbliżony do prawdy przekrój wypadków.

Kto więc chce przeczytać dobrą książkę o walczącej Hiszpanji, temu polecamy „A qui la victoire?”.



OKRUCHY TYGODNIA

Jeden krok rządu w sprawie Z. N. P. uczynił więcej, niż wszystkie mowy i deklaracje, ogłoszone ostatnimi czasy. Kto jest w kontakcie z szerokimi masami obywateli, ten wie najlepiej, jak wielką satysfakcję moralną otrzymały setki tysięcy rodziców, które dotychczas z bólem w sercu i zaciśniętymi w poczuciu bezsiły rękami, musiały patrzeć na bezkarne bolszewizowanie ich dzieci.

SIEWCY ANARCHJI

Właśnie dziś, po mianowaniu kuratora w Z. N. P., cały kraj ma oczywistą, pogładową próbkę, jaki element „obywatelski“ kształtował charakter i umysł najmłodszych pokoleń Polaków. Akt mianowania kuratora był najzupełniej legalny. Uzasadnienie zarówno prawne, jak faktyczne tego aktu jest całkowite. Jedynie po stronie formalnej były usterki, usunięte potem i uczyniono kilka błędów taktycznych.

A jak na ten akt odpowiadają ci, którzy mają być przewodnikami młodego pokolenia, którzy z samej istoty rzeczy mają mu świecić przykładem, którzy, w dodatku, przy innych okazjach, mieli pełne usta „praworządności“, „poszanowania dla litery prawa“, którzy tak głośno wołali o policję na uniwersytety?

Ci właśnie ludzie na legalne rozporządzenie swych przełożonych odpowiadają wybuchem dzikiej anarchji. Grożą strajkiem nauczycielskim, uciekają się do poparcia stronnictwa politycznego, buntują szeregi związków, namawiając do strajku.

Jeśli ktokolwiek miał jeszcze jakie wątpliwości co do elementów, panujących w Z. N. P., ten po reakcji tego związku na rozporządzenie władz — nie będzie już wątpli. Związek Nauczycielstwa opanowany jest przez elementy antypaństwowe. Oto nauka, jaka wypływa z lekcji pogładowej, danej przez prowadzących tego związku.

NIEPOTRZEBNA DYSKRECJA

Gdy prowodyrzy Z. N. P., w odpowiedzi na słuszny i niezbędnie konieczny krok władz odpowiadają anarchizowaniem życia, szkoły, a nawet i państwa — władze zachowują całkowitą dyskrecję na temat tajemnic ksiązkowości Z. N. P.

Dyskrecja zgoła niewczesna. Przecież już wróble, jak to się mówi, świergocą o tem na drzewach, że nie tylko polityczne grzechy obciążają paczkę, rządzącą do niedawna w Z. N. P.

Już przeszło rok minął, gdy b. współpracownik Z. N. P. p. Madej postawił publiczny, ogłoszony w prasie zarzut o licznych nadużyciach, popełnionych przez prowodyrów Z. N. P. Rok minął przeszło, a żadna skarga przeciwko p. Madejowi do sądu nie wpłynęła. Oskarżeni tak ciężko przywódcy Z. N. P. poprzestali na milczeniu i w dalszym ciągu gospodarowali sobie miljonowym budżetem Związku tak, jakby przeciwko tej gospodarce żadnego protestu nie było.

Gdy dziś, prowodyrzy Z. N. P. w dzienniku, notabene drukowanym za wyciśnięte z kieszeni nauczycieli pieniądze, urabiają opinię przeciwko wprowadzeniu kurateli, dyskrecja na temat wyniku rewizji ksiąg może być tylko wodą na młyn urabiaczy. W każdym innym wypadku dobro śledztwa może być zagwarantowane tajemnicą. Teraz jednak właśnie wskazane są komunikaty publiczne. A wiemy wszyscy, że byłyby one rewelacyjne.

ZNOWU NAPAD BOJÓWKI

I znowu napad bojówki na publicystę. W ośmiu na jednego. Bandytyzm staje się regularną formą politycznego życia Warszawy.

Tym razem napad nosi znamiona szczególniejszego bestjalstwa. Kto zna włąkę budowę p. W. Wasiutyń-

skiego, ten wie, że ofiara napadu może poprostu nie wyjść z życiem z tak ciężkich ran (pęknięcie czaczki, szczęki i t. d.), jakie jej zadano.

Ponure karty zaczyna mieć historia polska.

WOJNA PO JEDNEJ STRONIE

Przytem, co za dziwna i godna najwyższej uwagi sprawa: konsolidacja nie udaje się tylko po stronie białoczerwonej. Po stronie „fołksfron-tu“ idzie, jak po maśle. Coraz nowe odcinki powstają, jak z płatka. Tu p. Rzymowski i Paschalski kleją jedno skrzydło, tu już się formuje, pod przewodem pp. Mak - Piątkowskiego, Michałowicza i Grzędzińskiego — drugie.

Słowem: tu składna, szybka, łatwa robota — tam trudności, przeszkody, jałowy trud.

I biją się tylko po jednej stronie. Czy kto słyszał, żeby rozprawiali się na kastety i rewolwery członkowie tego samego, międzynarodowego obozu? A w obozie narodowym, co tydzień napad bojówki.

SPOSÓB NA POMOC ZIMOWĄ

Urzędy skarbowe stosują znakomity środek na pomoc zimową. Jeżeli tak dalej pójdzie, człowiek, dający ofiarę na pomoc zimową stanie się czemś w rodzaju dinosaura. Mitycznym okazem gatunku, który kiedyś istniał, lecz ze szczętem wyginął.

Oto próbka wyżej rzeczonych systemu. Jedna z firm warszawskich, w śródmieściu, wzruszywszy się apelem komitetu pomocy zimowej, zadeklarowała na ten cel sumę złotych pięćset. Niezwłocznie, można powiedzieć, bo po kilku dniach, przyszedł kategoryczny rozkaz urzędu skarbowego. Natychmiast płacić wszystkie zaległe podatki. Natychmiast. Przedtem urząd skarbowy już zgodził się rozłożyć te podatki na raty. Już zmiękł. Ale teraz znowu stwardniał i każe płacić natychmiast.

— Panie — tłumaczą w firmie de-

legatowi urzędu skarbowego — poczekał pan trochę, przecieście zgodzili się poczekać, przecie pan wie, że czasy kiepskie, że pieniędzy nie ma...

— Co? — woła ostro delegat — to na „pomoc zimową“ pieniądze macie, a na podatki nie? Płacić zaległości bez żadnego gadania.

Oto prosty, łatwy i radykalny sposób na odzwyczajanie ludzi od ofiar na pomoc zimową. Prostny i skuteczny, nieprawdaż?

SPROSTOWANIE

Jeden z naszych Czytelników zainteresował nas, że wiadomość, ogłoszona w poprzednim zeszycie MERKURYUSZA, o tem, jakoby Ministerstwo Rolnictwa subsydjowało Towarzystwo Zachęty do Hodowli Koni w Polsce sumą dwu i pół miliona złotych rocznie — nie jest ścisła. Zdaniem naszego informatora, Ministerstwo nie dopłaca Towarzystwu żadnej sumy, lecz przeciwnie, ciągnie z totalizatora zyski. Obiecaliśmy sprawdzić ten punkt i oczywiście, jeśli nasze wiadomości byłyby mylne, niezwłocznie je sprostować.

Sprawdziliśmy i okazuje się, że istotnie, nasze wiadomości są nieścisłe o tyle, że Ministerstwo nie wpłaca tych dwu i pół miliona do kasy Towarzystwa, lecz sumę tę wydaje na popieranie hodowli koni — bezpośrednio.

Czy jednak zmienia to postać rzeczy? Czy popełniliśmy nieścisłość istotną, czy tylko formalną? Otóż, musimy stwierdzić, że popełniliśmy ten drugi rodzaj nieścisłości. W praktyce bowiem, administrowanie tą sumą, a raczej wartościami za tę sumę osiągniętymi, a przede wszystkim materiałem rozplodowym, jest udziałem Towarzystwa. Departament Chowu Koni ściśle współpracuje z Towarzystwem i Towarzystwo przede wszystkim ma wpływ na sposób, w jaki dobro państwowe, rządowy materiał hodowlany — jest używane.

BAFUR I VILLARS

A oto próbka, jak się to dzieje. Do czołowych ogierów rządowych pełnej krwi w Polsce, należą Bafur, Villars, Mah-Jong. Konie te, sprowadzone do Polski między wieloma innymi, za niezbyt wygórowaną cenę, zrobiły tu prawdziwą karierę. Okazały się zwłaszcza fenomenalnymi reproduktorami. Potomstwo ich stało się gwiazdami na torze. Bafur dał Essora, który wygrał Derby, Eclair'a który wygrał Wielką Warszawską, Fiamminę (Wielka Waszawska), Bafura synem jest sławny Grand Seigneur, Gentry (dwa razy zdobył Wielką Warszawską), Bandit (nagroda Kruższyny, J. Fenshave, Produce, St. Leger i wiele innych), Bafura córka jest Napaść, Ice i t. d. i t. d. i t. d.

Niemniej sławne potomstwo dał Villars: Wisusa, Dżemsa, Genowę, Kratera, Łeb w Łeb, Kindżaku, Koleczugi, Wichra III i t. d. W roku 1931 potomstwo Villarsa wygrało przeszło 200 tysięcy złotych, w 32-im prawie pół miliona (drugie miejsce na liście reproduktorów), w 33-im przeszło pół miliona (pierwsze miejsce na liście reproduktorów), w 34-ym przeszło trzysta tysięcy i Villars zajął znowu 2-gie miejsce na liście szlachetnych ojców biegającej młodzi, w 35-ym roku znowu Villars zajął 2-gie miejsce na tejże szczytnej liście i t. d.

PÓŁ MILJONA ZA OJCA

Imię Mah - Jonga ma dla koniarzy niemiernie doniosły dźwięk. Nie będziemy tu wyliczać jego progenitury, co dla niefachowców może być nużące. Kto się temi sprawami interesuje, niechaj zajrzy do pięknie wydane-go „Rejestru Ogierów Pełnej Krwi vol. II“, gdzie znajdzie wszystkie te szczegóły, oraz rodowody i fotografie tych świętych koni.

Krótko mówiąc, wszystkie trzy są klejnotami hodowli krajowej. Gdyby który, nie daj Boże, padł, należy wątpić, czy państwowe zakłady Chowu Koni mogłyby się zdobyć na kupno

reproduktora tej samej klasy. Wątpić należy, ponieważ taki koń, jak Villars, czy Bafur kosztowałyby minimalnie pół miliona złotych.

— Jakże w takim razie — spyta czytelnik - niefachowiec — zabezpieczyć się przed tak wielką stratą? Asekuracja?

Owszem, asekuracja jest także stosowana, ale hodowla radzi sobie zwyczajnie. Amortyzuje reproduktora, ściągając opłaty za stanówkę. Z opłat tych, z biegiem lat, zbiera się zazwyczaj suma, która pozwoli nabyć reproduktora tej samej klasy.

Otóż, chcąc mieć potomstwo po Villarsie, czy Bafurze należy się zgłosić do komisji, która kwalifikuje matki i bada, czy są dostatecznie szlachetnej klasy, aby zaś patrycjusz nie popełnił mezaljansu. *Właśnie komisja składa się z członków zarządu Towarzystwa.* Otrzymawszy placet komisji, trzeba jeszcze opłacić cenę stanówki. Te cenę także proponuje komisja.

I teraz pytanie: ile powinna kosztować stanówka z Villarsem, czy z Bafurem? Zważywszy, że zasady racjonalnej hodowli dopuszczają tylko 40 stanówek rocznie?

DWIEŚCIE ZŁOTYCH ZA SYNA

Każdy hodowca bez wahania odpowie, że conajmniej z półtora tysiąca złotych, jeśli nie dwa. A już tysiąc złotych minimalnie. Za stanówkę rasowym psem myśliwskim płaci się nieraz dwieście złotych, cóż więc mówić o koniu, i w dodatku takim, który kosztuje z pół miliona! Tylko przy tysiącu pięciuset złotych za stanówkę można zamortyzować konia tej ceny.

Otóż proszę przyjąć do wiadomości, że cena za stanówkę Villarsem i Bafurem wynosiła do roku 1935 — 200 złotych (dwieście złotych). Oczywiście zaprzyjaźnieni z Towarzystwem hodowcy mieli tanio potomstwo po czołowych ogierach, które wygrywało setki tysięcy złotych. A niezaprzyjaźnieni? Nie mogli się do-

stać na listę. Owe czterdzieści stanówek rocznie ciągle było zajęte.

Dopiero po awanturach hodowców, ministerstwo zwiększyło stawkę do 300 złotych (w roku 1936-ym), ale tylko dla dwu wymienionych reproduktorów, Mah Jong bowiem kosztował wciąż 200 złotych — a w roku bieżącym stawka wynosi 750 zł. Na liście zrobiło się luźniej. Zawsze, co 750 złotych, to nie 200.

No cóż... kiedy to trochę późno. Bafur ma już 16 lat, a Villars... 18.

A PRYWATNI?

Niechaj też nikt nie łudzi się, że owe dwieście złotych miało na celu „popieranie hodowli krajowej“. Dla szerokiej hodowli nie są ważne gwiazdy, w rodzaju Bafura, czy Villarsa, ale przeciętnie dobre reproduktory, dla klaczy folwarcznych i włościąńskich, których stanówka kosztuje 7 (siedem) złotych. Bafury i Villarsy są łakomym kąskiem, ale dla wąskiego grona hodowców koni pełnej krwi, puszczanych na tor i wygrywających wyścigi. Ci mogą płacić i powinni płacić, jeśli chcą mieć potomstwo po Bafurze i Villarsie.

Co najciekawsze: reproduktory prywatnych właścicieli, a grubo mniej interesujące od tamtych, były o wiele bardziej szanowane. W tym samym roku, kiedy stanówka takiego Villarsa kosztowała 200 złotych, cena za stanówkę o wiele mniej cennym Arnoldem, p. Dydyńskiego, ogierem, który wówczas wart był maksymalnie 16 — 18 tys. zł. (dziś najwyżej 6 — 8 tys. zł. wynosiła... 500 złotych), za stanówkę Forwardem (wartość ówczesna 25 — 30 tys. zł.), p. Grzybowskiego, cena wynosiła w roku 1935 — tysiąc złotych, a w r. 1936... 500 złotych; nawet stanówka takim Rapacem, który ani sam się niczem nie zaznaczył na torze, ani też jego potomstwo niczem nie zabłysło — kosztowała... 400 złotych, czyli równo dwa razy tyle, co najlepszymi reproduktorami w kraju.

ZARZĄD DOBREM PUBLICZNYM

Tak oto wyglądała administracja dobrem publicznym pod egidą zdymisjonowanego obecnie zarządu Towarzystwa. Dlatego też, ponieważ w praktyce ono ponosi odpowiedzialność w pierwszym rządzie, a ministerstwo rolnictwa następnie — ponieważ powyższy fragment jest zaledwie drobną próbką stosunków, które z całą delikatnością, pozwolimy sobie nazwać wysoce nienormalnymi — nie możemy zmienić ani jednego słowa z oceny sytuacji, podanej poprzednio: jeśli interes publiczny w zakresie hodowli koni ma być zabezpieczony, żaden z członków dotychczasowego zarządu Towarzystwa nie może wejść do nowego zarządu, nowe zaś władze muszą rozpocząć działalność od skrupulatnego badania rachunków.

Ministerstwo rolnictwa ma decydujący wpływ na wybór nowych władz, na zmianę statutu Towarzystwa i t. d. Jeśli teraz, w najbardziej właściwym momencie, ministerstwo nie przystąpi do uzdrowienia nienormalnych stosunków na torze — obciąży się jeszcze jednym i wcale nie najłżejszym zarzutem.

POWRÓT CECHÓW

Jeśli prasa nie przynosi wiadomości przedwczesnej, to możemy oczekiwać nader pożytecznego wydarzenia w dziedzinie organizacji rzemiosła. Mają powrócić cechy.

Związki rzemieślnicze wynalazku p. Idzikowskiego, Izby Rzemieślnicze i t. p. okazały się pomysłami z gruntu pomylonemi. Nie byli z nich zadowoleni ani rzemieślnicy, ani ich klienci, a najgorzej wyszło na tem samo rzemiosło. Nigdy chyba nie upadł jego poziom tak nisko, jak ostatniemi czasami.

Proszę spytać pierwszego lepszego człowieka, który sobie zamówił u majstra stół, czy szafę, albo dał odnowić meble, bądź też przebudował piec, czy kazał wymalować pokój.

Proszę spytać, czy jest zadowolony i posłuchać odpowiedzi.

A potem proszę spytać innego, starszego, który pamięta czasy cechów. Wystarczy porównać te dwie odpowiedzi, aby zrozumieć, jak ważną i już palącą rzeczą jest przywrócenie cechów.

J. B.

SPROSTOWANIE URZĘDOWE

W chwili oddawania pod prasę niniejszego zeszytu, otrzymaliśmy następujące sprostowanie, którego, zgodnie z przepisami prasowymi w tym samym numerze komentować nie wolno. Wobec tego odpowiedź odkładamy do następnego zeszytu. (Red).

MINISTERSTWO ROLNICTWA I REFORM ROLNYCH

Nr. Og. II — 1/26.

Warszawa, dn. 4 października 1937 r.

Do

Redakcji Wydawnictwa

„Merkuryusz Polski Ordynaryjny“

w miejscu

ul. Chmielna 27 m. 6.

W związku z artykułem p. t. „Skąd ta tolerancja?“, zamieszczonym w Merkuryuszu Polskim Nr. 37 (177) z dnia 26. IX 1937 r., na podstawie obowiązujących przepisów prasowych Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych prosi o zamieszczenie w najbliższym numerze załączonego sprostowania takimi samymi czcionkami i w tym samym dziale, co i artykuł ulegający sprostowaniu.

Dyrektor Gabinetu Ministra

(—) J. Krzyczkowski

Nieprawdą jest, jakoby „budżet Towarzystwa Zachęty do Hodowli Koni w Polsce jest większy niż budżet najpotężniejszego banku w Polsce: Pocztovej Kasy Oszczędności“,

natomiast prawdą jest, że: według drukowanego sprawozdania P. K. O. z działalności w 1936 r. rachunek strat i zysków zamyka się sumą

56.907.455 zł. 95 gr., w tem 5.599.474 zł. 55 gr. nadwyżki bilansowej, zaś rachunek strat i zysków Towarzystwa Zachęty do Hodowli Koni w Polsce za rok 1936 zamyka się sumą 4.674.113 zł. 52 gr., w tym 691 zł. 13 gr. nadwyżki.

Nieprawdą jest, jakoby Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych „dopłacało“ Towarzystwu Zachęty do Hodowli Koni w Polsce „dwa i pół miliona złotych rocznie w postaci subsydiów“ z budżetu państwowego,

natomiast prawdą jest, że wspomniane Towarzystwo żadnych subwencji od Ministerstwa nie otrzymuje.

Prawdą jest ponadto, że wyścigi konne w Polsce, zarówno na torze stołecznym, jak i na torach prowincjonalnych nie są finansowane z budżetu państwowego, a jedynie z ustawowo przewidzianych odliczeń od stawek we wzajemnych zakładach (totalizatorze).

Prawdą jest również, że Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych nie tylko nie wypłaca z budżetu państwowego żadnych subwencji na cele wyścigowe, lecz przeciwnie, otrzymuje przewidziane w ustawie o wyścigach konnych odliczenia od stawek we wzajemnych zakładach. Uzyskane stąd sumy Ministerstwo zużywa na popieranie hodowli koni, zakup ogierów dla państwowych zakładów chowu koni i t. p., zmniejszając tym samym wydatki Skarbu Państwa.

OPRAWIAM KSIĄŻKI

■ skromnie albo luksusowo, ale tania i solidnie (po amatorsku)

Specjalność oprawa MERKURYUSZA

Rocznik w 2 tomach 4 zł. 50 gr.

C a ł o ś ć 1 4 z ł o t y c h ■

■ (R. 1933 — 1 tom; lata 1934, 1935 i 1936 po dwa tomy)

MARJAN SOBIESZCZAŃSKI

Warszawa, Krak. Przedmieście 4 m. 35

Nowy typ książeczek premiowanych P K O

Dla udostępnienia najszerszemu ogółowi systematycznego oszczędzania wprowadziła P K O z dniem 1.X. 1937 r. obok istniejących wkładów premjowanych z wygranymi w kwocie zł 100, 250, 500 i 1000

NOWĄ V SERIĘ KSIĄŻECZEK PREMIOWANYCH

Książeczki te są dostępne dla wszystkich i oparte na następujących zasadach:

s k ł a d k a miesięczna wynosi zł 5.—

p r e m i e za wytrwałość w oszczędzaniu, losowane w terminie upływu książeczki wynoszą zł 1.000.— zamiast zł 600

p r e m i e po zł 500.—, 250.—, 100.— i 50 za systematyczne oszczędzanie losowane są 4 razy do roku w okresach trzech miesięcznych,

k a p i t a ł po 9 i $\frac{1}{2}$ latach oszczędzania wynosić będzie zł 600.—, a więc sumę większą od złożonej,

p o ż y c z k i pod zastaw książeczek do wysokości 80% złożonego kapitału, co w nagłych wypadkach daje możliwość korzystania ze złożonego kapitału, przy czym książeczka bierze nadal udział we wszystkich losowaniach,

i l o ś ć posiadanych na osobę książeczek premiowanych jest nieograniczona a więc posiadacz może otrzymać większą ilość premii.

Każdy kto pragnie połączyć oszczędności z premią za wytrwałość powinien zaopatrzyć się w książeczkę premiowaną V serii.

NASI WSPÓŁCZEŚNI

WANDA WASILEWSKA

której dzieła wydaje „Gosizdat“

Niewiele, ponad to, co jest w tytule, da się powiedzieć o znakomitej literatce warszawskiej, p. Wandzie Wasilewskiej.

Chyba tylko to, że jest córka wielkiego ojca, dzielnego, szlachetnego patrioty, który życie całe strawił na walce o to, co jego córka chętnieby oddała Związkowi Sowieckich Socjalistycznych Republik.

Co za zdumiewające koleje losu: ojciec całe życie walczył z Moskwą, córka jest właściwie patriotką Moskwę, niewiadomo dlaczego i poco mieszkającą w Polsce. Jej powieści wydaje „Gosudarstwiennoje Izdatielstwo“, (sowieckie wydawnictwo państwowe), czyli t. zw. Gosizdat; jej działalność jest wodą na młyn sowieków; jej sympatje rwą się nad Nową i Moskwę; studentów polskich nazywa (w druku!) „swołocza“.

Pani Wanda kocha tylko Moskali i żydów. Polacy, czyli „skwierne polaczyszki“ dają pani Wandzie na nerwy. Oficer polski doprowadza panią Wandę do pasji, a polski samolot do szału. Na widok polskiej armaty pani Wanda mdleje.

Dopiero trzeźwi ją „woń, środkująca między zapachem hijacyntu i starego kitu“. Aby zrozumieć, co ta woń oznacza, trzeba sobie przypomnieć drugi tom „Lalki“ i scenę, gdy pan Rzecki, wybrawszy się na licytację, dostał się wreszcie do sali.

A widok sowieckiego tanku, choćby na pocztówce, przyprowadza panią Wandę całkowicie do normy i następuje radośnie.

Ostatnio, ta znakomita literatka sowiecka, wstawiła się swą korespondencją z Polesia (cytujemy wyjątki w „Przeglądzie Prasy“). Wszystko widziała, jak żydzi sieją i orzą, widziała, jak kują młotami, widziała,

jak czysto śpią i mieszkają, jak się z Poleszukami kochają. Tydtko „kwitków“ nie widziała. Wszystko opisała o żydach poleskich, tylko nie opisała „systemu kwitków“.

Uzupełnijmy tedy opis pani Wandy tym ważnym szczegółem. Ważnym, bo system kwitków jest dla Polesia tem, czem system banknotów dla reszty Polski. Najistotniejsza cecha obrotu. Nerw wymiany. Filar życia gospodarczego Polesia.

Oto, jak wygląda w praktyce system kwitków.

Płynie sobie Prypecią taki naprzykład, pan Abram Sołowiejczyk z Kozangródką. Na łodzi „wozak“ stoi rozkraczony, z wysiłkiem łódź popycha, co chwila wierzchem dłoni ocierając oczy ze strug potu.

W łodzi, na wiązce siana, wygodnie rozparty, leży p. Abram.

— Podjedź — rozkazuje, ujrawszy zdaleka tkwiącego w trzcinach rybaka.

Wozak spełnia rozkaz i łódź z szumem wjeżdża w oczerety.

— Ej, Apanas, a co tam ułowił? — pyta pan Abram, podnosząc się na łokciu.

Apanas podaje szczupaka i dwa okonie. Pan Abram bierze ryby, waży je na kantarku, czyli małej, ręcznej wadze sprężynowej i rzuca na dno łodzi. Pisze kwitek, daje Apanasowi i łódź sunie dalej.

Cała scena, poza pierwszemi słowami, odbywa się w całkowitem milczeniu. Pan Abram nie mówi, ile ryby ważą. Nie mówi, jaką cenę daje za kilo. Nie mówi, na jaką sumę opiewa kartka. Ba! Apanas nigdy nawet tego się nie dowie. Po pierwsze nie potrafi czytać, a powtórnie nie umie po żydowski. Na kartce stoją jakieś hie-

roglify, ale co znaczą, tego nikt nie wie i nie będzie wiedział.

Z tą kartką Apanas ma prawo udać się do pierwszego lepszego sklepu żydowskiego w Kozangródku i otrzymać szczyptę soli, czy pudełko zapalek, czy wreszcie bułkę chleba. Ile i czego — oczywiście także nie wie. Bie-rze w sklepie, co mu potrzeba, a płaci kartkami. Nie wie, czy on jest winien w sklepie, czy jemu są winni, a raczej przeciwnie: wie, że on jest zawsze winien.

*

Oto jest system kwitków na Pole-siu. Prosty, jasny, nieskomplikowa-

ny. I djabelnie pożywny. Bo skutek jest taki: w Kozangródku, na trzy tysiące stu mieszkańców jest trzy ty-siące Abramów Sołowiejczyków, tak umiejętnie operujących kwitkami. Cała połać kraju między Cną, Smier-cią, Wietlicą i tysiącem innych rzek, rzeczek i rzeczulek żywi kwitkami trzy tysiące Abramów Sołowiejczy-ków.

Szkoda, że p. Wanda pominęła tak charakterystyczny rys Polesia, jak sy-stem kwitków. Ileby zyskała kores-pondencja na kolorycie lokalnym z te-mi kwitkami...

J. B.

PRZEGLĄD PRASY



WIADOMOŚCI LITERACKIE

Warszawa, 26 września.

Rzeka Turja, naprzekór przewodniko-
wi nazywającemu ją „nieciekawą krajo-
brazowo“, płynęła wolniutko przez kraj
z bajki, zaczarowane gęstwiny, uroczę za-
rosła pod wrzawą dzikiego ptactwa. Nis-
kie niebo nad niskimi łąkami zamykało
świat niewiarogodnie zielony. Nie istnia-
ło nic, tylko nieprawdopodobnie piękna
Turja wśród nieprawdopodobnie pięknych
brzegów.

Ale był także kołek, wetknięty w dno,
ślad przejścia rybaków. Kołek w rzece
Turii wyrzucił nas bezlitośnie na brzeg i
kazał szukać ludzi. Ludzie wbrew pozorom
istnieli w zielonym świecie, nawet ludzie
z wozem i końmi. Szaro-czerwony kajak
powędrował wbrew swoim przeznacze-
niom łądem do miasteczka Niesuchojeże.
Stolarz? Owszem, jest. Sołtys jest stola-
rzem.

Powędrowaliśmy przez jedyną uliczkę
miasteczka w poszukiwaniu sołtysa. Na
dużym domu na drzwiach w głębi podwór-
ka widniała tablica: „Sołtys gminy Nie-
suchojeże“. Ale drzwi tuż od drogi prowa-
dziły do warsztatu stolarskiego w tymże
domu. Nad kupą desek schylał się broda-

ty Żyd. Tu było bliżej — i weszliśmy
właśnie tutaj, do mniemanego konkuren-
ta sołtysa.

Wtedy okazało się, że właśnie brodaty
Żyd jest sołtysem gminy Niesuchojeże, czy
jak w urzędowej wersji brzmi, Niesucho-
jeże. Przyznam się, że staliśmy chwilę
zamienieni w słup soli. Ale przecież chłop
na drodze powiedział wyraźnie: sołtys to
zrobi, on stolarz.

Zaczął się chwiać w posadach świat wy-
budowany z artykułów „Gońca“ i „Dzien-
nika Narodowego“. Zlekka oszołomieni,
przeprowadziliśmy pertraktacje co do
dziury w kajaku i dla ochłonięcia wyszli-
my na świeże powietrze. Z obu stron dro-
gi stały niewysokie domki, tabliczki na
węglach mówiły wyraźnie, że większość
należy do Żydów. Ale przecież nie wszyst-
kie. A tam na wielkiej tablicy wiszącej
nad drzwiami czarne litery głosiły wy-
raźnie: „Sołtys gminy Niesuchojeże“...

Znaleźliśmy w rozwidleniu ulicy, na
małym placyku, restaurację. Oczywiście—
żydowską. W pierwszej izbie było rojno i
gwarno, wszystkie ławy zasiedli chłopcy w
haftowanych koszulach. Nam dostało się
miejsce w małym czystym pokoiku za
sklepem.

Przystojna Żydówka, którą mój mąż
wbrew jej wyraźnie dziewczęcemu wy-
glądowi nietaktownie pytał o dzieci, chę-

nie wdała się z nami w rozmowę. Teraz ona była zdziwiona naszym zdziwieniem. Jakto, przecież jej brat, także tu na kresach, przez długie lata był sołtysiem i ustepił ku ogólnemu żalowi ludności „nie tylko żydowskiej“, — podkreśliła dziewczyna, — bo ani rusz nie mógł się pogodzić z pisarzem.

— Pan starosta bardzo brata prosił, ale brat już nie chciał.

Okazuje się, że słyszała o Brześciu, o Częstochowie, o Mińsku. Było to dla niej jak bajka dla dzieci — przechodzi dreszcz trwogi, ale się przecież wie, że to wszystko nieprawda, że się mogło dziać kiedyś, gdzieś daleko, daleko, lecz nie tu, w miasteczku Niesuchoize nad rzeką Turją.

— U nas ludzie dobrzy, wszystko jedno, Żyd, ruski czy Polak.

Operacja kajaka trwała długo, trzeba było nocować. Zaprowadzono nas do żydowskiego zajazdu — i to zaprowadził nas wcale nie Żyd.

— Tam najczyściej i najlepiej.

Na drugi dzień znów otwarta się przed nami leniwie płynąca wstęga Turji i zielona pustynia zaludniona stójkami czyhających na zdobycz czapel — ale byliśmy już z powrotem wyrzuceni w realny świat tysiąca zagadnień i bolączek. Uparłam się żeby szukać antysemityzmu — i szukałam go na przestrzeni czterystu kilometrów nad brzegami rzek i błot poleskich.

*

We wsi Szczytyniu, kiedy docieraliśmy już nareszcie do Prypeci, spotkaliśmy nad brzegiem to samo. Gromada dzieci białoruskich i żydowskich, bawiących się razem. Łatwiej było nam porozumieć się z żydowskimi, bo te w odróżnieniu od białoruskich doskonale mówią po polsku. Gospodarz, u którego nocowaliśmy w Szczytyniu, powiedział nam że we wsi jest jedenaście żydowskich gospodarstw. Mówił o nich życzliwie i rzeczowo. Chwalił pracowitość, umiejętność obchodzenia się z rolą.

Wieczorem spotkaliśmy tego samego chłopca, który wskazał nam gdzie najlepiej prosić o nocleg. Szedł od rozległych błon nad Prypecią, prowadząc za grzywę konia. Spytałiśmy, dlaczego nie jedzie naoklep.

— Nie można. Sobota zachodzi.

Czerwona kula słońca wsiąkała powoli w szary tuman zalegający horyzont. Kończył się dzień. Dopiero teraz uswiadomił mi sobie, ludzie wędrujący bez zegarka, kalendarza i dziennika, że jest to właśnie piątek.

— A czy nie wszystko jedno, jechać czy prowadzić?

Spojrzał na nas poważnie.

— Widać nie. Prowadzić można — a jechać nie wolno.

Dowiedzieliśmy się z rozmowy, że skończył szkołę, że chciałby bardzo dostać się do gimnazjum w Kamieniu Koszyrskim. Ale tam bardzo trudno. Trzeba być celującym uczniem.

— A ty nie jesteś celujący?

— Jestem. Ale ja przecież jestem Żyd. Czerwone blaski słońca odbijały się w mętnej wodzie poleskiej rzeki. Małe palce przebierały machinalnie rudą grzywę konia. Staliśmy zmiażdżeni wstydem.

*

W miasteczku Horodec młody, inteligentny restaurator powiedział nam:

— Proszę państwa, żyję tu i pracuję od piętnastu lat. I od piętnastu lat pierwszy raz teraz, kiedy zaczęła się antysemitcka agitacja, dowiedziałem się że jestem Żydem. Nigdy nie miałem najmniejszej przykrości z racji swojego pochodzenia, żyję i pracuję z tutejszym chłopem, ten chłop zna mnie i ma do mnie zaufanie.

— Więc, zdaniem pana, antysemitizm...

— Mojem zdaniem, tu nigdzie nie ma antysemityzmu. Przynosi go z sobą agitacja z zewnątrz.

— Ścisłej mówiąc, kto?

— Książd, pisma, przyjezdni... Na zebraniach uchwalają...

*

Zatraca się zupełnie obraz Żyda-straganiarza, Żyda drobnego kupca. Są tu wszędzie i robią wszystko. Pracują na roli, biorąc ziemię „na części“. I pracują dobrze. W zapuszczonej, nędznej, pierwotnej poleskiej wsi to są działki, w stosunku do których można mówić o kulturze rolnej. Sieją i sadzą jarzyny, rzecz nieznaną nad Turją. Szczepią drzewka owocowe, których na przestrzeni jakichś stu pięćdziesięciu kilometrów nie widzieliśmy pozatem. Ich krowy dają więcej mleka, ich drób niesie więcej jaj. Oni, handla

rze od wieków, pokazują chłopu co można jednak wyciągnąć z nędznej poleskiej ziemi. Są pionierami w tych bagnistych, zapuszczonych, egzotycznych obszarach. Trudno, tak jest, choćby się to miało najbardziej nie podobać zwolennikom teorii nieproduktywności żydowskiej.

W Horodcu przy moście złotemi iskrami bije kuźnia. Przy kowadle stoi Żyd. Żyd dmie w miech, Żyd wali młotem, wykonywając jedną z najcięższych prac.

*

Bucha żarem kuźnia, prężą się potężne mięśnie, spływa pot. Tak, to jest ta „leka praca“, której rzekomo hołdują Żydzi. Idziemy jeszcze obejrzeć młyn naftowy. Tam przy motorze Diesla pracuje także Żyd. Huczy motor, cuchnie ropa naftowa, mechanik praży się w nieludzkim gorącu, żeby za miesiąc otrzymać 70 złotych.

*

Ale produktywność żydowska nie jest tu jeszcze wszystkim.

Można mówić co się chce, lecz każdy człowiek który nie ma oczu przesłoniętych bielmem nienawiści musi stwierdzić i przyznać, że na tych ziemiach jedynym właściwie czynnikiem kulturalnym i — proszę, podejmuję wszelką dyskusję na ten temat — polskim są właśnie Żydzi.

Po noclegach w chłopskich stodołach, gdzie siano niepojętym sposobem rusza się od pcheł, z westchnieniem ulgi nocowaliśmy w żydowskich zajazdach. Życzę każdemu warszawskiemu „burżujskiemu“ domowi, żeby było w nim tak czysto jak tam. Naprawdę szukałam legendarnych pluskiew, mitycznego robactwa. Pościel była olśniewającej białości, podłogi wyszorowane, nigdzie kurzu, nigdzie pyłu.

Zdumiewało mnie to, jak ci ludzie czysto i poprawnie mówią po polsku. Wkońcu zagadnęłam o to wprost.

— Bardzo się staram — powiedział mi młody Żyd. — Ale to bardzo trudno, z chłopami trzeba po białorusku, a panowie z administracji, jak pobędą tu jakiś czas, to mówią źle po polsku, nasiąkają „tutejszym“ akcentem. A ja się bardzo staram, żeby dobrze mówić...

Starają się nie tylko o to. Płacą regularnie podatki, płacą składki na F. O. M., na L. O. P. P., na wszystko. To jest zresztą

stara historia — odzywa się odwieczna lojalność, pragnienie uniknięcia dodatkowych trudności życiowych. Za czasów rosyjskich byli elementem rusyfikatorskim, teraz są elementem polonizacyjnym, i są nim naprawdę.

*

„Ale przecież są tu jeszcze inne żywioły, naprawdę polskie“ — krzyknie oburzony endek. Prawda, są. Dwory, rzadkie tu zresztą, i wspomniana już wyżej administracja.

Jak wyglądają stosunki z dworem i jego wpływ kulturalny? Chłopi chodzą do dworu pracować. Mężczyźni otrzymują 80 groszy, kobiety 50 groszy za dniówkę. Dzień roboczy trwa od wschodu do zachodu słońca. Przyczem nie wypłaca się należności gotówką, tylko kwitkami na słomę, drzewo i t. d. Trzeba wiele razy chodzić, i to jak np. z Buzak kilka kilometrów drogi, żeby wreszcie ratami uzyskać tę słomianą należność.

*

Płynęliśmy dalej i szukali antysemityzmu. I znaleźliśmy, owszem. Ale to było już w pobliżu Brześcia.

— Chłopska robota lepsza od żydowskiej — powiedział nam młody chłop w Neplach, kiedy mówiliśmy o kowalskim wyrobie sierpów. — Gdzie ta Żyd robi tak jak chłop...

Okazało się z dalszej rozmowy, że w okolicy wogóle niema tutaj kowala - Żyda. W okolicy był zato Brześć...

Trafiliśmy i do Brześcia. Nie ma tu już jaskrawych śladów zniszczenia. Wprawiono szyby, pobudowano co było zburzone. Żyd - sklepikarz wdał się z nami chętnie w rozmowę.

— Kto rabował? Męty rozmaite, dziewczyny takie, co państwo wiedzą, i ci ich niby opiekunowie... Porządny tu nie był nikt, my przecież ludzi znamy... I obcy byli, rozmaici...

— A jak tam teraz?

— Ot, zwyczajnie. Mnie narobili szkody na pięćset złotych, zapomogi dostałem sto pięćdziesiąt, ale jakoś się żyje. Jeszcze pierwszego czerwca to oni tu postavili na rogu taką dziewczynę, pięć złotych płacili, i ona miała pilnować, żeby do mnie ludzie nie przychodzili kupować. Ale przy chodzili, jak zwykle. Tu są przecież po-

rzadni ludzie, i ja tu już tyle lat handluję... A tamci przyszli rabować, no to się wie, porządny rabować nie przyjdzie... Tak potem niby pisali, że rozbijali, a nie rabowali. Ale gdzie, rabowali jeden przez drugiego, i żeby nie ten rabunek, toby się nikomu nie chciało...

I tu więc byli ci mityczni „oni“, tak jak mityczne „zebrania“ w Horodcu. Ludzie z zewnątrz, mający swój interes w tem żeby krzyczeń jak najgłośniej „huzia na Żyda!“, żeby sztucznie stwarzać „spontaniczne odruchy“, ludzie usiłujący wpoić w ogół mniemanie, że istnieje u nas niechęć i nienawiść rasowa, że antysemityzm płynie z instynktów i głębi człowieka. Jaskrawo jak nigdy pokazała mi moja wycieczka, że jest on tylko sprytną grą, nikczemnym interesem, polityczną rozgrywką, zapełnieniem pustki ideowej. Szukałam antysemityzmu i nie znalazłam go nigdzie na wielkim obszarze wsi poleskich i nadbużańskich. Owszem, był, ale antysemityzm płatny po pięć złotych za dzień, płatny sztuką płótna, workiem cukru, pościelą mięsa z żydowskiego sklepu.

— Antysemityzmu niema, jest tylko agitacja przychodząca z zewnątrz — powiedział mi restaurator w Horodcu i mówił prawdę.

*

Tak więc wygląda ta sprawa na głuchem Polesiu. W tym skrócie z konieczności musiałam ograniczyć wszystko co byłoby do powiedzenia o chłopie białoruskim i podając pewne fakty, nie podawa-

łam przyczyn. Nie chciałabym, żeby to było przez kogokolwiek źle zrozumiane.

Bo i chłop białoruski był dla mnie rewelacją, i to rewelacją in plus. Ale to już jest, jak mówi Kipling, inna historia.

(Wyjątki z artykułu p. Wandy Wasilewskiej p. t. „Pisarze polscy o kwestji żydowskiej — Szukam antysemityzmu“).

ABC

NOWINY CODZIENNE

Warszawa, 3 października.

Pani Wanda Wasilewska spłynęła na kajaku po Turii, leniwym dopływie Prypeci, i rzuciwszy okiem turysty na osadę Niesuchoże oraz wsie Buzaki i Szczytyń zdecydowała, że na kresach wsch. nie ma antysemityzmu. W artykule „Szukam antysemityzmu“ (Wiadomości Lit. nr. 40) nie zawahała się nawet przed twierdzeniem, że „jedynym na tych ziemiach... czynnikiem kulturalnym i... polskim są właśnie żydzi“.

Autorka tak śmiałej tezy podkreśliła gotowość podjęcia wszelkiej dyskusji na ten temat. Korzystam z okazji. Dyskutujemy.

Ponieważ przemierzałam wielokrotnie opisywane przez Panią okolice, znam doskonale nastroje ludności miejscowej i działalność żydów.

Uważam, że moje doświadczenia na tym terenie nie ustępują tym, jakimi dysponowała p. Wasilewska.

Wnioski nasze jednak różnią się diametralnie. Przedewszystkiem, jeśli dyskusja ma być rzeczową, należy w paru miejscach skorygować fakty, jakimi operuje p. Wasilewska.

LIRYCZNE HISTORYJKI

A zatem — nie ma gimnazjum w Kamieńcu Koszyrskim. I po prostu dla tego ten młody żyd ze Szczytynia nie mógł pragnąć dostania się tam, jak to Pani rzekwie opisuje w swej z nim rozmowie.

JULJAN BABIŃSKI

GEOGRAFIA POLITYCZNA W POLSCE

A. D. 1937

Str. 24

Cena 1 zł

Do nabycia w administracji MERKURYUSZA POLSKIEGO (Chmielna 27 m. 6a) albo przez wpłacenie 1 zł na Konto P. K. O. 17.343 (Stefan Babiński, Warszawa).

Skoro zaś nie ma gimnazjum, nie mógł mieć Pani pupil przypisywanych mu pragnień, z tym nie mógł również z tego powodu odczuwać swej żydowskiej niższości. POCO więc takie liryczne historyjki pisać? Natomiast istnieje gimnazjum katolickie O. O. Pijarów w Lubieszowie, jedyne zresztą w powiecie. Sądzę, że ów najlepszy uczeń w Szczytniu do tego gimnazjum nie aspirował.

POMYŁKI P. WASILEWSKIEJ

A teraz o kulturze rolnej żydów w Szczytniu. Te kilkanaście chałup, które Pani oglądała w Szczytniu, to nie jest wcale właściwa wieś. To resztką dawną wsi przed komasacją. Gospodarze Poleszcy wyprowadzili się na tak zwane futory, to znaczy przenieśli swe zabudowania na nowe działki. Na miejscu pozostali żydzi, którzy nie otrzymali zamiennych działek, gdyż na pewno nie są rolnikami. Handlują bydłem, i skupują szmaty, len i żyto oraz prowadzą spożywcze sklepiki. Jest tam taki Abram Chait, żyd z patriarchalną brodą. Zapewne go Pani poznała. Ubiegał się o działkę roli w czasie komasacji. Twierdził, że jest rolnikiem. Okazało się jednak, że handluje bydłem i to na szeroka skalę.

„BRATNIE WSPÓŁŻYCIE“

Szkoda, że nie odszukała Pani sołtysa tej wsi. Opowiedziałaby on Pani ciekawe historyjki na temat „bratniego“ współżycia Poleszucków z żydami i o tym, jak to cała gromada protestowała przeciwko nabywaniu ziemi przez tamtejszych żydów i że nawet z tym protestem jeździła jej delegacja do samego wojewody. Taki jest właśnie filosemityzm gospodarzy w Szczytniu.

TYLKO POLACY

Twierdzi Pani, że to żydzi wyłącznie uprawiają nad Turią warzywa i hodują drzewa owocowe.

Trzeba było przed machnięciem artykułu zasięgnąć rady choćby instruktora

rolnego w gminie Chocieszów, choć rady gromadzkiej tegoż Szczytnia. Na pewno by Panią dokładnie poinformowali o tym, ile setek wagonów nawozów sztucznych, ile tysięcy drzew owocowych sprowadzają rok rocznie drobni rolnicy powiatu koszyrskiego. Dowiedziałyby się Pani, że w bieżącym choćby roku pracuje około 60 zespołów przysposobienia rolniczego młodzieży. Zapewniłam Panią, że są to zespoły aryjskie i kształcą się również pod kierunkiem aryjczyków.

W Dubiecku istnieje samorządowa szkoła drzew owocowych posiadająca około 70.000 sztuk drzewek. Rok rocznie ludność rolnicza zsypuje do gminnych śpichlerzy żyto po dwa kg. z hektara które wymienia na doborowe gatunki zboża siewnego. I gdyby się tym Pani zainteresowała możeby przekonała się Pani, że pionierzy kultury rolnej na Polesiu nie są synami Izraela.

PROWOKACJE ŻYDÓW

Płynąc Turią od Niesuchojeź do Prypceci zlekceważyła Pani niestety Kaczyn i większość miejscowości. Dowiedziałyby się Pani np. w Wólce Kaczyńskiej o tym, jak to żydzi jednego z tamtejszych gospodarzy ciężko ranili siekierą w dniu 18.V r. b. na rynku w Kamieniu Koszyrskim. Jak to innego gospodarza z Kaczyna pobili kołami. Jak to obie te wsie zamierzały spalić żydów w tymże Kamieniu Koszyrskim. Poznałyby może Pani w Pałuchowie, Poczapach i w Wólce Szczytnińskiej polskie zaścianki szlacheckie, które zachowały wiarę ojców i narodowe tradycje, owe reduty polskie, o które rozbijały się fale rusyfikacji. Warto było nad tą Turią zwiędzić przynajmniej wzorowe gospodarstwa rolne Borowskich w Załuchowie i Wólce Szczytnińskiej.

RODZIMY ANTYSEMITYZM

Na kresach antysemityzm jest powszechnym i groźnym zjawiskiem. Występuje on w różnych postaciach i jest rodzimy, nie importowany.

Głównym jego źródłem jest niesłychanie wyżytek rolnika przez żyda!

WYZYSK

Kwitnie na Polesiu handel wymienny. Wygląda to tak: żyd domokrażca zajężdza do wsi, kupuje len na oko, bez wagi. Oszukuje więc najpierw na wadze. Następnie ustala cenę. Oszukuje na cenie. Wreszcie płaci... perkalowymi chustkami, paciorkami i tandetną galanterją. Oszukuje po raz trzeci.

A poleski rolnik wie doskonale że został oszukany. Lecz jest bezsilny dlatego, że brak mu zorganizowanych rynków zbytu, brak dobrych dróg, brak wreszcie powszechnego uświadomienia co do ceny i wartości towaru. Ale już dzisiaj ten sam rolnik sprzedaje trzodę i żyto swej spółdzielni rolniczo - handlowej. A niedługo będzie sprzedawał len, konopie i wełnę.

PARĘ CYFR

Może Panią o właściwych nastrojach Poleszuców przekona parę cyfr.

W ciągu jednego roku ilość spółdzielni rolniczo - handlowych i spożywczych w powiecie osiągnęła cyfrę 22. Kapitały zakładowe każdej wahają się od 500 do 3.000 złotych. Prosperują doskonale. Spółdzielnia powiatowa „Rolnik“ w ciągu jednego roku 1936 wyeksportowała świń za przeszło 1.500 tysięcy złotych. Wszystkie rady gminne (zasiadają tam w 95 procentach rolnicy - Poleszucy) uchwałyły 25 procent rocznego zyspu żyta na otwarcie przy spółdzielni działu żelaza.

BEZ ŻYDÓW

Rok rocznie w czasie żydowskich świąt nowego roku, tradycyjny jarmark wtorkowy przenoszony był na inny, dla żydów wygodniejszy dzień. W bieżącym roku zarząd gminny nie uznał za celowe honorować tej tradycji. Żydzi przeprowadzili energiczną kontrakcję, celem niedopuszczenia do jarmarku we wtorek. I kiedy nadszedł ów wtorek, rynek przedstawiał taki widok jak każdego innego wtorku. Zapelniony był... pustymi wozami rolników. Przyjechali oni, wiedząc, że nic nie utargują, ale pragnąc zamanifestować swój antysemityzm. Czy gdyby Pani mia-

ła słuszność, była by możliwa taka manifestacja kilkuset gospodarzy?

OSTRY BOJKOT

Warto było zwiedzić takie wsie, jak Aleksiejówka, Ksymno, Rakowy Las, Wojekoszczce, Worokomle i dziesiątki innych. Zobaczyłaby Pani i bojkot żydowskiego handlu i inne groźniejsze objawy. Zapewniam Ją, że po zdemolowaniu 6-ciu sklepików żydowskich we wsi Nujno 19 maja b. r. policja zaarrestowała za czynny udział w ekscesach kilkunastu gospodarzy Poleszuców, niekaranych, solidnych i zamożnych.

ANTYSEMICKI KOMUNIZM

Któregoś dnia został zaarrestowany za działalność wywrotową zamożny gospodarz we wsi Rzeczyca, Michałko. Sprawował niebyłą funkcję sekretarza rejon. KPZU. Zapytany, czemuż to on pracowity i zamożny rolnik jął się roboty komunistycznej — odrzekł: A kto będzie naszych braci bronić przed żydami? Dobrze odpowiedział — prawda? Jak najautentyczniejsze.

Jeśli Pani zdaniem jedynym elementem polonizacyjnym na Kresach są żydzi, to jak Pani ocenia w tej mierze np. działalność w powiecie 230 sił nauczycielskich, 6 instruktorów rolnych, personelu 4-ch ośrodków zdrowia i t. p. Jak widzi Pani, eliminuję celowo administrację państwową i samorządową, coś około 100 dusz polskich z rodzinami.

Mam wrażenie, że negowanie kwalifikacji polonizacyjnych choćby wspomnianego dopiero co aparatu ludzkiego jest pewną... lekkomyślnością.

ELEMENT ANTYPAŃSTWOWY

Wreszcie muszę jeszcze jedno stwierdzić kategorycznie. Żydzi na kresach są elementem wybitnie antypolskim, często antypaństwowym. Posługują się wyłącznie językiem żydowskim, rosyjskim i miejscowym. Ogromna ich większość podpisuje się nawet po rosyjsku. W jednej szkole żydowskiej w Kamieniu Koszyrskim używany jest wyłącznie język hebrajski i

żargon. Najsilniejszą organizacją żydowską jest grupa nacjonalistów Grünbauma. 80 procent ludności żydowskiej zrzesza się w organizacjach nacjonalistycznych, obcych lub wrogich polskości.

No i jak wszędzie — kadry roboty wywrotowej! Właśnie obecnie toczą się w Kamieniu procesy polityczne, które Panią poinformują ilu żydów w Lubieszowie i Pniewnie kierowało działalnością miejscowych komórek KPZB.

Zakwestionowała Pani dobre wpływy dworu polskiego na wieś polską. Dwór w Buzanak, na który Pani się powołuje, nie jest polski. Stanowi własność Rosjanina, p. Maluszkowicza. Innego dworu Pani nie widziała. Proszę zatem zachować ścisłość. Rosjanin i Polak to nie jest zupełnie to samo.

NIERZETELNOŚĆ CZY ZŁA WOLA?

Te wrażenia z Polesia nie upoważniały Panią w żadnym wypadku do snucia generalnej tezy narodowościowo - socjalnej o Polesiu. Twierdzą również, że w tego rodzaju publicystyce obowiązuje rzetelność. Rozumiem przez to obowiązek zbadania największej ilości faktów przed przystąpieniem do syntetyzowania i płódenia kategoriycznych pewników.

Pani z nastrojów kajakowej przejażdżki chciała wyprowadzić wnioski, wymagające głębszych studiów i obiektywnej oceny.

Dlatego mam prawo wątpić albo w wartość Pani metody pracy, albo w Jej dobrą wolę. Z dwojga złego, wybieram pierwszą alternatywę. Chociaż najchętniej chciałbym wierzyć w to, że kajak żeglował wyłącznie po tendencyjnie wzburzonych falach wyobraźni.

(Artykuł p. S. Zawiei z Kamienia Koszyrskiego p. t. „Falszowanie faktów, czy całkowita ignorancja — „Pomyłki“ p. Wandy Wasilewskiej“).

*

Warszawa, 30 września.

Agencja „Echo“ przynosi dwie sensacyjne, aczkolwiek... błędne wiadomości. Podajemy je, jako charakterystyczne dla nastrojów panujących w sferach politycznych.

Pierwsza z nich brzmi:

Jak się dowiaduje ag. „Echo“, ostatnio w Stronnictwie Narodowym przychodzi do głosu grupa profesorska na czele z prof. Rybarskim. Grupa profesorska reprezentuje kierunek porozumienia się na platformie politycznej Obozem Zjednoczenia Narodowego. O ile by te pogłoski odpowiadały prawdzie, to tak zw. grupa Dmowskiego straciła by na sile w Stronnictwie Narodowym.

Treść drugiej jest następująca:

Według krążących pogłosek ostatnio grupa O. N. R. z pod znaku A. B. C. prowadziła dość ożywione rozmowy ze Stronnictwem Narodowym, jednak z powodu ostatniego flirtu Stronnictwa Narodowego z Ozonem, grupa ta nie ma zamiaru wchodzić do tych kombinacji politycznych.

Wiadomości powyższe są oczywiście oparte na dowolnych domysłach.

(Notatka p. t. „Pogłoski o Stronnictwie Narodowym oparte na dowolnych domysłach“).

CZAS

ROK ZAŁOŻENIA 1848

Warszawa, 30 września.

Ze wszystkich ugrupowań politycznych, największe w tej chwili ożywienie zdradza niewątpliwie front Morges. Pozostaje to oczywiście w związku z ostatnim montowaniem nowego stronnictwa politycznego, mającego posiadać charakter centrum narodowo - katolickiego.

Jak to już kilkakrotnie pisaliśmy, trzosem nowego stronnictwa mają być sfuzjonowane ze sobą Ch. D. i N. P. R., oraz Związek Hallerczyków. Front Morges zmierza jednak zupełnie wyraźnie do rozszerzenia podstaw montowanego obecnie centrum politycznego. Podjęte w tym celu wysiłki, idą w trzech kierunkach, a mianowicie: 1) w kierunku niezorganizowanych politycznie elementów katolickich, 2) w kierunku Stronnictwa Narodo-

wego i 3) w kierunku Stronnictwa Ludowego.

Oczywiście, najbardziej interesujące są wysiłki, skierowane ku pozyskaniu dla frontu Morges Str. Narodowego i Stronnictwa Ludowego.

Jak wiadomo, Stronnictwo Narodowe wszelkie oferty ze strony frontu Morges stanowczo odrzuciło. Skłoniło to jakoby front Morges do zmiany taktyki w stosunku do Str. Nar. Taktyka ta — jak to już wczoraj pisaliśmy — zmierzała ma do odciągnięcia od Stronnictwa „dołów“ partyjnych, w które wprawia się, że władze Stronnictwa Narodowego jawnie występują przeciwko konsolidacji katolicko-narodowej.

W kołach politycznych sądzą jednak, że taktyka ta przyniesie nader nikłe sukcesy.

Inną zgoła taktykę stosuje front Morges wobec Stronnictwa Ludowego. Odmiennosc ta wynika niewątpliwie z tego, iż front Morges nie traci nadziei, iż „góra“ ludowców zdecyduje się wreszcie na współpracę z powstającym obecnie centrum politycznym. Celem ostatecznego skłonienia Stronnictwa Ludowego do tego kroku, koła frontu Morges wskazują na niemożliwość politycznej współpracy z P. P. S. Koła te twierdzą mianowicie, że pomijając fakt, iż P. P. S. nie reprezentuje bynajmniej całego świata robotniczego w Polsce, szeregi tej partji w bardzo silnym stopniu przeniknięte są elementem komunistycznym.

Na uwagę zasługuje również stosunek frontu Morges do sprawy żydowskiej. O ile uprzednio stosunek ten był dość niewyraźny, o tyle obecnie biorą górę mocniejsze akcenty antysemickie. Jest to niewątpliwie wynikiem kursu antyfołksfrontowego. Ponadto fakt ten komentowany jest również jako przejaw taktyki, mającej na celu obalenie zarzutów, iż front Morges celowo kwestji żydowskiej nie chce postawić jasno. Zarzut ten jest zwłaszcza przeszkodą dla agitacji „frontomorgowej“, wśród „dołów“ Stronnictwa Narodowego.

Wzmocnienie tendencji antysemickich akcji politycznej frontu Morges, wywołało żywe echa w kołach żydowskich, które zapośrednictwem niektórych pism ży-

dowskich poczęły atakować to ugrupowanie polityczne.

GEN. HALLER PREZESEM ZJEDNOCZONEJ DEMOKRACJI POLITYCZNEJ?

W kołach politycznych przedmiotem szczególnego zainteresowania jest kwestja składu personalnego władz nowego stronnictwa Zjedn. Demokracji Politycznej. Sprawa ta jest przedmiotem rozmów, które otoczone są ścisłą dyskrecją. Mówi się jednak, że prezesurę stronnictwa obejmie gen. Józef Haller, który miał wyrazić na to swą zgodę.

(Artykuł p. t. „Taktyka polityczna Frontu Morges“).

GONIEC 
WARSZAWSKI 

Warszawa, 4 października.

W niedzielę rozpoczął się w Warszawie festiwal sztuki polskiej. Zjechało więc do stolicy moc osób z prowincji, czy to pociągami popularnymi, czy też indywidualnie, na podstawie kart uczestnictwa. Niektórzy z nich są w stolicy po raz pierwszy w życiu, inni—starzy bywalcy byli tu już kiedyś dawno, a są i tacy oczywiście, którzy odwiedzali już wielokrotnie stolicę. Najwięcej jednak jest tych, którzy zawitali do nas pierwszy raz. Rozglądają się po budującym się dworcu i pędzą wprost do kiosku Związku Propagandy Turystycznej, m. st. Warszawy. Tam się nimi zaopiekują, ulokują, doradzą...

NAJTANIEJ... 3—5 ZŁ. ZA DOBĘ

Czy rzeczywiście ci przybysze, z głuchej nieraz prowincji, zastraszeni i przytłoczeni ruchem i gwarem dużego miasta znajdują tam należytą opiekę?

Niezupełnie.

Kwaterę dostaną owszem — w hotelu od 5 zł. wwyż, w domach prywatnych 3, a schroniska zbiorowe od 1.50 za dobę. Nie jest to tanio na kieszeń przeciętnego obywatela, zwłaszcza z prowincji. Możli-

we że na przyszły rok będzie lepiej, kiedy wykończy się miejski Dom Turystyczny, pomyślany w sposób kulturalny i gdzie będą istotnie tanio.

Kiedy przybysze mają już zapewniony nocleg interesują się programem pobytu. Chcą zobaczyć jak najwięcej i możliwie najbardziej wykorzystać pobyt w stolicy. Ale tu natrafiają na pierwszą trudność. Kupony kart uczestnictwa, upoważniające do udziału w przedstawieniach teatralnych i koncertach można wymieniać jedynie w biurze Zw. Propagandy Turystyki na ul. Wierzbowej. Oczywiście kiosk na dworcu jest zamały żeby zorganizować tam wymianę kuponów, ale należało pomyśleć o tym, żeby ci zmęczeni podróżni nie musieli lecieć na drugi koniec miasta.

ZŁUDNE OBIETNICE PROGRAMU

Ponieważ musza, więc idą aż na Wierzbową. Program festiwalu obiecuje 3 teatry: Narodowy, Polski i Letni. Gość wybiera Letni. — Nie ma. Krzywi się i decyduje się na Polski. — Nie ma również. Jest tylko Narodowy. Gość zastanawia się chwilę i mówi:

— No, to dziś nie pójdę do teatru. Złatwią sprawunki. Jutro niedziela więc sklepy zamknięte. To proszę na jutro.

Okazuje się, że niedziela wogóle nie ma żadnego teatru.

— Jakto nie ma — dziwi się gość, — przecież program zapowiada...

No tak, istotnie zapowiada. Panienska wymieniająca kupony na bilety jest zażenowana. Bezradnie rozkłada ręce i proponuje na poniedziałek... teatr Narodowy.

— Nie — gość się już uparł. — To dziś pójdę na koncert, a jutro do kina. Gdzie mogę dostać ulgowe bilety do kin.

Okazuje się, że nie ma żadnych ulg w kinach. Cofnięto je w ostatniej chwili.

— Ale program...

Tak. Program obiecuje, ale to nie znaczy, żeby wszystkie te obietnice były ziszczone. Ludzie irytują się, narzekają.

— Ot i stolica — mówi jakiś przybysz z kresów.

— Tu, to tak zawsze — dogaduje Małopolanin — aby tylko oszukać...

KIEPSKA ORGANIZACJA

Poprostu szwankuje organizacja. Tego rodzaju obrazki powtarzają się ilekroć jest większy zjazd w Warszawie. To brak kwater, to znów inne jakieś niedociągnięcia, nigdy nie odbywa się nic zgodnie z pełnym programem.

Jeśli się doda, że prawie każdy doróżkarz, czy taksówkarz wystarczy żeby wyczuł przybysza z prowincji i natychmiast żąda wyższej opłaty, to obrazek jest nie wesoły. Kiedy gościa naciągną w restauracji, a na ulicy, gdy zapyta o drogę odburkną mu nieuprzejmie, lub w ogóle nie odpowiedzą, to w rezultacie tworzy się wielka depopaganda, o którą chyba ani organizatorom zjazdów, ani mieszkańcom stolicy nie chodzi.

Warto by pomyśleć, żeby to jakoś naprawić póki czas, żeby ci rzadcy goście stolicy nie zawieźli do domów najfatalniejszej opinii o Warszawie.

A my, przechnodnie z ulicy, znajdziemy dla naszych najmiłszych gości z prowincji trochę życzliwości i uśmiechu. Dlatego mamy być gorsi od Lwowa, słynącego z gościnności i serdecznej uprzejmności swych obywateli.

(*Artykuł redakcyjny p. t. „Skandaliczny początek Festiwalu Sztuki, złu dne obietnice nie dotrzymane przez organizatorów“*).

JEŚLIŚ ZNAWCĄ NIE LAKIEM,
PIJ HERBATĘ
„z KOPERNIKIEM“



WARSZ. TOW. HANDLU HERBATĄ
A. DŁUGOKĘCKI, W. WRZEŚNIEWSKI
SPOŁKA AKCYJNA
WARSZAWA
AL. JEROZOLIMSKIE 119 125

OBIADY CZWARTKOWE

Nareszcie wiem, czemu p. minister Świętosławski wyjechał do Francji na rozpoczęcie roku szkolnego. Nie chciał, aby jego oczy patrzyły na osobne ławki dla polaków w uniwersytetach i robienie porządku w Z. N. P.

Właśnie, gdy już rok akademicki rozpoczął się, na nowych zasadach siedzenia, i gdy już w Z. N. P. objął rządy kurator — gazety przyniosły wiadomość, że p. min. Świętosławski wraca.

FESTIWAL SZTUKI

Wielka impreza PAL-u, mająca zapoznać „całą Polskę“ z aktualnym teatrem, kinem, literaturą, plastyką zaczęła się czemś, czego nie chcielibyśmy nazwać skandalem.

Całymi tygodniami obębniano i otrębywano po prowincji „Festiwal Sztuki“, namawiano ludzi, aby przyjechali zobaczyć cuda artystyczne, a w rezultacie... No, zobaczymy, jak tam pójdzie dalej. Może to tylko trudny początek?

Zamieszczamy poniżej wrażenie z tego początku...

FESTIWAL POD LISTKIEM

— „Kocha, lubi, szanuje“ — liczę listki na takim festiwalowym patyczku (ołowianym), który mój sąsiad wpiął sobie w krawat (właśnie w krawat), wrózę Festiwalowi na tych jego własnych „listkach“. „Nie chce, nie dba“ — o rany! Tak jest, pięć listków, „nie dba“ i ani mru-mru. Jestem mocno zmieszany. „Kto nie dba?“ „O kogo nie dba?“ Takie myśli złowróźbne przelatują mi przez głowę.

Trzymam się mocno wieszaka tramwajowego, bo motorniczy, jakby wiedział, że to już za siedem minut uroczyste otwarcie programu festiwalowego P. A. L., wali „na dziewiątkę“. Jeszcze zakręt, przystanek, wysiadamy. Powszechny. Festiwal... Przypo-

minam sobie imprezy tego rodzaju zagranicą. No, u nas niby tysiący nie będzie... ale zawsze kilkaset „chłopa“ rozsadzi szczupłe mury Akademji. Z wyciągniętą szyją podchodzę do „wrót“ P. A. L. Widać trochę świateł w oknach i — puste ściany. Niemożliwe, toż za sześć minut...

Ale oto jestem w środku. Pytam woźnego, zdumiony pustką, „czy to dziś?“ — „Tak“. Z zadartą głową gramolę się po schodach — schody puste. Wchodzę do pierwszej sali — pusto. Nieśmiało zaglądam do sali głównej. Owszem — krzesła są. Siedzi na nich kilka starszych pań — to wszystko. Sprawdzam zegarek — za cztery minuty szósta. Sprawdzam za raz setny program — początek o szóstej...

PUSTO WSZĘDZIE, GŁUCHO WSZĘDZIE...

Wycofuję się na schody i tam w kącie galeryjki obieram sobie punkt obserwacyjny. Papieros robi mi się tak niespokojny w palcach, jak ja niespokojny jestem o Festiwal. O ten „pierwszy“, ten „powszechny“. Po schodach weszły jeszcze 2 — 3 starsze panie i znikły w sali.

Pusto, cicho, ponuro. Nagle w tę ciszę wdzierają się radosne, beztrudne śmiechy. To jakaś wycieczka pensjonarek z prowincji. Śmiechy, wzajemne uciszania się, dziwnie żywo brzmią w tej strupieszalej atmosferze. Ale oto stanęły przed wejściem na salę. Uciszyły się nagle, skupiły i z nabożną ciekawością, nieśmiało cisną się, zaglądając przez drzwi do tej (o święta naiwności!) „świątyni sztuki“. Dla nich naprawdę świątyni! Wszak mają zobaczyć *żywych* pisarzy! Pisarzy, a więc dla nich jakichś legendarnych nadludzi. Czy oni naprawdę żyją? Oni, ci po Norwidzie, Wypiańskim, Zeromskim... Ale oto „pani“ skinęła ręką i na palcach, tłumiąc oddechy, wchodzi wycieczka cała do „świątyni“.

W ciągu kilku minut przybywa jeszcze nieco publiczności. Mała salka z trudem usiłuje — *napętnić* się, ale i to wątpliwy sukces. Jeżeli odejmiemy wspomniane kilkadziesiąt panienek z pensji, sto z czemś osób na otwarcie pierwszego polskiego i to powszechnego — to jest zupełne nic. To mniej, niż na pierwszym lepszym odczycie literackim, jakich mamy 1 — 2 w tygodniu. Nędzza!

PREZES MÓWI

Ale oto wchodzi na mównicę prezes. Otwiera... Sam coprawda nie wie dobrze, co otwiera i przez czas dłuższy boryka się z nazwą Festiwalu. Wreszcie słabizuje ją i rozpoczyna swe przemówienie inauguracyjne. Prezes P. A. *Literatury*. Mowa polska skrzypi, gnie się i jęczy w jego „interpretacji“. Gnie się, jęczy i pęka raz po raz w jakieś potworne zgoła, kalekie zwroty, Bóg wie skąd importowane okresy. Z przerażeniem patrzę na panienki z prowincji. Rumienię się na myśl co sądzą one o polszczyźnie w tej „interpretacji“ prezesa — nieśmiertelnych literatów. Oto przyszły do krynicy... Lecz wszystko ma swój kres. Prezesa zluzował „wybitny pisarz współczesny“. Bąknął coś o swych dziełach dawnych i nowych i zaczął czytać. Oczywiście, by nie ulegała wątpliwości wyższość „wybitnego pisarza współczesnego“ nad szarym tłumem, czytał z tak zwaną nonszalancją, obrócony tak mocno bokiem do publiczności, że czynił chwilkami wrażenie — plecomówcy. Czytał jakiś swój naprawdę bardzo genialny utwór. Stało tam o wstawaniu o ósmej rano, oraz o bułeczkach (czy też chlebczku — nie pamiętam) z masełkiem. Podziałało to na mnie „wręcz odwrotnie“. Rzuciłem spojrzenie współczucia na panienki z pensji, które będą musiały słuchać tego do końca. Schodząc z nieśmiertelnych schodów, słyszałem za sobą kroki paru jeszcze osób. Pierwszy, polski, powszechny... zaczął się.

FIGA NA PATYKU

Ranek niedzielny rozpoczął się pod znakiem przepięknej pogody. „Jedziemy na kiermasz artystyczny“ — mówię do żony. „Świetnie, a co tam na tym artystycznym kiermaszu będzie?...“ „Hm, co ma być, będzie pewno trochę obrazów, grafiki, może trochę rzeźby, no a przedewszystkiem książki, książki. To się chyba samo przez się rozumie“. Jedziemy na kiermasz, ten *artystyczny*. W drodze zwierzam się żonie, że co jak co, ale poszukam na tym artystycznym kiermaszu „Srebrne i czarne“, oraz „Karmazynowy poemat“ Lechonia. Właśnie Lechonia brak mi w bibliotece, a kosztuje 4 zł., czyli, jak na moją kieszeń, chociaż o 1 zł. za dużo. No oczywiście na *artystycznym* kiermaszu za jakieś 3 zł. dostanę napewno.

Więc kiermasz artystyczny. Więc stoisko z kiełbasami, więc stoisko z innymi kiełbasami. Więc stoisko z automatycznymi zapinaczami krawatów. Więc stoisko na którym jakiś pan z wysiłkiem tępi pilnikiem kosę, aby ją potem z wysiłkiem tymże pilnikiem naostrzyć. Więc wspaniałe, strzeliste stoisko z napisem „Bracia Jabłkowscy“, na którym wystawiono (tylko) deskę malowaną w efektowne białe i żółte kraty, z napisem wyżej 1864 (czy też 1884), że niby deska od tyłu lat jak mur. Więc stoisko z kiełbasą, parówkami i kapustą (z grochem, z grochem!). Więc stoisko z garnkami huculskimi, jakie dostać można na każdej ulicy Warszawy od przekupniów, więc wreszcie trzy stoiska z figami i migdałami w cukrze. Oto kiermasz artystyczny, na który wybraliśmy się po książki, a przywieźliśmy jedną figę na patyku, jeden patyk z orzechami, torebkę migdałów, razem za 80 gr. (rachunek do sprawdzenia; patyk od figi jest do obejrzenia w redakcji od godz. 3 — 5 dla tych, którzy nie mieli szczęścia oglądania pierwszego polskiego, powszechnego... i t. d. kiermaszu artystycznego). (Uwaga dla P. P. organizatorów polskich pow-

szechnych i t. d.: poco było robić kram ze stawianiem szpetnych bud na Starem Mieście; lepiej już było zaprowadzić gości na Kercelak, gdzie budy są, takie same, nie trzeba ich robić, a gdzie znajdują się — słowo daje, sam przejazdem widziałem — trzy stałe stoiska z książkami, gdzie jednym słowem kiermasz ów byłby naprawdę „artystyczny“! Może uwaga ta uwzględniona będzie przy organizowaniu następnych powszechnych... Odpust w Złaminodze bije kiermasz artystyczny (powszechny, polski...) o parę dobrych długości.

Wreszcie, na noszącej wybitne ślady pośpiechu dziennikarskiego, Wystawie Książki w P. A. L., proponowałbym obok gablotki „Ojcowie nasi“ (w której figurują Wyspiański, Żeromski i t. d.) — gablotkę „nasze Nianie“, gdyż o ile wpływu tych Wielkich Ojców zgoła nie widać, piętno niezatarłe wyciskają właśnie Nianie. Nianie zasłużone, autorki pięknych „Märchen für alle“.

Oto garść pierwszych wrażeń z pierwszego, polskiego, powszechnego... Dalsze obserwacje, oraz wnikliwa analiza programu w następnym numerze.

H. J.

F R A S Z K I

W IMIĘ PRAWDY

Zamieściliśmy w poprzednich zeszytach wyjątki z książki p. Wincenigo Górskiego p. t. „Nowy przewrót w Kosmosie“. Wobec tego, że przedruki te wywołały dość duże zainteresowanie, śpieszymy zacytować kilka wyjątków z innej pracy, napisanej przez p. Michała Koruntajło. Książeczka (16 stron) ukazała się nakładem autora, nosi tytuł „W imię prawdy“ i odznacza się łagodnym pesymizmem. Oto co pisze autor o roli Ziemi we wszechświecie:

Jakże mam się zgodzić z wąpliwymi odkryciami najnowszych czasów, jakże mam

Książki nadesłane

Bronisław Gnatowski: Ku społeczeństwu asekuracji prywatnej w Polsce. Nakładem Wydawnictwa „Jutro Pracy“. Warszawa 1937 str. 71.

Leopold Caro: Liberalizm i Kapitalizm. Odbitka z Ateneum Kapłańskiego, tom 39. Włocławek 1937. Str. 112.

S. Wielkopolski: Co to są Narodowcy? Ich cele i dążenia. Nakł. Cieszyńsko-Podhalańskiego Zarządu Okręgow. Stronictwa Nar. w Bielsku. Bielsko 1937. Str. 24.

X. Charszewski: Palec Boży w nowożytnych katastrofach żywiołowych, z przedmową Konstantego Bolesty-Modlińskiego. Wydanie specjalne dla Stan. Zjedn. Am. Póln. Str. 179.

X. Charszewski: Niebezpieczeństwo żydowskie w niebezpieczeństwie kołbecem. Warszawa 1929. Str. 70.

X. Charszewski: Nie kanonizować, lecz anatematyzować! Nakł. druk. „Reduta“ Skł. gł. „Dom Książki Polskiej“. Warszawa 1934. Str. 36.

nie wierzyć, że to wszystko jest zwyczajnym złudzeniem, zwyczajną Fata-Morganą? Powiadają, że ziemia jest krągła jak kula bilardowa, że wisi zawieszona w powietrzu. A właśnie jest przeciwnie, co się na własne oczy przekonałem, bo kiedy spoglądałem z wysokiej wieży (przeszło 18 metrów) na jezioro, to wyraźnie widziałem, że lustro wody jest wklęsłe jak dno talerza.

Zwróciłem się wtedy do towarzyszących mi wykształconych osób, między którymi był starosta i zawiadowca szos państwowych i osoby te w całej pełni potwierdziły mą obserwację jako całkowicie ścisłą, tembardziej, że to było zgodne z rozmyślaniami wielu sławnych uczonych, któ-

rzy do teleskopu, jako instrumentu wrażliwego na działanie Fata-Morgany byli usposobieni podejrzliwie.

Moje obserwacje z wieży nad jeziorem ponawiałem jeszcze wielokrotnie i zawsze z tem samem wynikiem, wobec czego ośmielał się teraz podać do wiadomości, że dowodzenia różnych teleskopiarzy jako oparte na złudzeniu czyli Fata-Morganie są fałszywe i tylko zaciemniają wiarę w porządną uszrój Wszeczhwiata.

Dalej autor zbija kolejno znane dowody, wałęsające się po podręcznikach szkolnych:

Nieprawdą jest, że kiedy się jedzie morzem, to przy spotkaniu z drugim parochodem najsamprzód widać maszt, potem bocianie gniazdo, potem żagle i na końcu kadłub. Albo też, że widać dym, potem komin i na ostatku kadłub. Stwierdzam stanowczo, że widać odrazu dymy, dlatego że dymy snują się nad wodą, bo woda w morzu jest wklęśta taksamo jak i w jeziorze. Sam to sprawdziłem, jadąc jeszcze przed wojną z Libawy do Rewla. Od tej pory nic się chyba nie mogło we Wszeczhwiecie zmienić.

Pan Michał Koruntało ostrzega uczonych przed nadużywaniem szkieł:

Móglbym chyba, kaźden się z tem zgodzi, zataić wiele moich własnych odkryć i nic o tem nie pisać, ale w Imię Prawdy tego nie zrobię i ostrzegam uczonych przed nadużywaniem różnych szkieł teleskopami zwanych. Kaźde szkło zwiłaszcza szlifowane i wypukłe jest wrażliwe na działanie Fata-Morgany i jako takie powinno być z miejsca odrzucone. Ja sam zwiędzałem jedno takie obserwatorjum i z politowaniem patrzałem, jak uczeni nastawiają lunetę i jak sobie wzrok psują i zapisują całe strony różnemi znakami zozdjakowemi zupełnie nie rozumiejąc, że to wszystko jest oparte na działaniu

wszeczhwiatowego złudzenia czyli na Fata - Morganie.

Autor kończy apelem do społeczeństwa:

Mojem zdaniem wcale nie należy zabronić robienia teleskopowych obserwacji Nieba, bo to nikomu nie szkodzi i tylko astronomom daje utrzymanie, ale należało by zabronić drukowania książek szkolnych i naukowych opartych na fałszywych wnioskach. Mojem zdaniem trzeba wszystko zacząć od początku czyli od badań opartych na Rozumie, czego dałem przykłady w tem memorjale ogłoszonym i Imię czystej Prawdy.

Przyznajemy się, że lektura pracy p. Michała Koruntała zrobiła na nas silne wrażenie.

SŁODKIE ZIÓŁKO

W zeszytcie „Illustration Française” z jedenasteo września znajdujemy artykuł o Lukrecji:

Lucrèce Borgia fut la femme de trois maris dont le premier fut annulé et le deuxième assassiné.

Annulé, jak to przetłumaczyć? Małżonka unieważniono, raczej obrócono w nicość. Słodka Lukrecja była do wszystkiego zdolna.

POWIEŚĆ FASCYNUJĄCA

Wyjątek z pięknej powieści, drukowanej w dzienniku stołecznym „Pięta Rano” (18.IX):

Walczyli zawzięcie. Wołkow wypróbowanym sposobem schwycił przeciwnika za gardło, dusząc go z całych sił. Obaj tarzali się na podłodze. Szczupak wiał się, jak wąż, by się uwolnić z kleszczy.

Dodajmy aby nie było nieporozumień, że ów Szczupak jest ssakiem wyższego rzędu, czyli człowiekiem, i tylko tak się nazywa.

WYDAWCA I REDAKTOR: JULJAN BABIŃSKI

PRENUMERATA: mies. 1 zł. 50 gr., kwa t 4 zł. 20 gr., półrocz. 7 zł. 20 gr. Zagr mies. 2 zł. 40 gr., kwart. 6 zł. 40 gr., półrocz. 12 zł

OGŁOSZENIA: za miejsce wysokości 1 mm. przez jedną szpalę za tekstem 60 gr. w tekście 90 gr. (Wszystkie kolumny są dwuszpaltowe). Na kolumnę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

REDAKCJA ADMINISTRACJA: Chmielna 27 m 6. Telefon 664.75.

Przyjęcia Adm. godz 9 - 2 p. p.

Redakcja I - 2